



T. 542.191

# Robinson Kruzoe









NOWA BIBLIOTEKA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

# Robinson Kruzo

z kolorowymi ilustracjami

opracowała

**E. KOROTYŃSKA**



NAKŁADEM „NOWEGO WYDAWNICTWA”  
WARSZAWA, ul. Sienna № 3.

[1929]



7.542.191

Druk. W. Kucharski i S-ka, Warszawa, Chłodna 27.

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001008704182

1929.8.0.406



## CZĘŚĆ I.

### ROZDZIAŁ I.

**Ucieczka z domu rodzicielskiego. — Burza na morzu. — Ocalenie.**

Przed kilkuset laty, w dużym portowym mieście Marsylji, mieszkał bardzo bogaty kupiec Robinson. Nie brakło mu niczego z pozoru, miał bowiem dostatki, miłość ludzką i trzech dzielnych synów, a jednak nie-szczęście zawisło nad nim i jego małżonką i raz po razie napelniało serca tych zacnych ludzi rozpaczą.

Pierwszy z synów, po ukończeniu nauk, zapragnął wstąpić do wojska, na co rodzice, choć marzyli dla niego o innym zawodzie, zgodzili się i wyprawili w drogę. Jako oficer, stanąwszy na czele swego pułku, poległ w obronie ojczyzny. Oplakiwali go rodzice

ze smutkiem, pocieszając się tylko widokiem dwóch pozostałych synów.

Niedługotrwała to była pociecha. Średni syn, posiadający niezwykle zdolności, zapragnąwszy zostać uczonym, zagłębił się w książkach i po dniach całych i nocach pracował nad zdobywaniem wiedzy. Osłabiony nadmierną pracą, zaziębił się i zachorował a niezadługo potem zrozpaczeni rodzice odprowadzili na miejsce wiecznego spoczynku zwłoki ukochanego swego syna.

Pozostał już tylko najmłodszy. Tego postanowili rodzice stanowczo nie wypuszczać z pod swej opieki i wy kierować na kupca.

Robinson Kruzoe był chłopcem zdrowym i silnym, ale opieszalym i leniwym. Wiedząc, że rodzice drżą o niego i kochają nad miarę, robił co mu się podobało, a właściwie nie robił nic.

Cały dzień spędzał na spacerach, na witytowaniu swych kolegów i przyglądaniu się odjeżdżającym lub przybywającym do portu okrętom.

Z lenistwa i wmówienia w siebie, że ci, co są na okrętach nie mają nic do roboty, wynikła chęć zostania marynarzem.



— Bujać będę po błękitach morskich, ujrzę kraje obce, ptaki i zwierzęta, które tu znam tylko z obrazków... To mi będzie życie! — myślał Robinson.

Kupiectwo nie uśmiechało się mu zupełnie. Widział trudy i pracę do tego zawodu przywiązaną, czuł, że nie zdołałby tak usiedzieć na miejscu, jak jego ojciec, że opuszczałby sklep, a tem samem narażałby się na straty.

Jednym słowem — gnało go coś ku nieznanym krainom, odpędzało od książki i kazało mu biedz nad brzeg morski i przyglądać się okrętom.

Pewnego dnia, wybiegłszy z domu pod jakimś pozorem, puścił się do ukochanego portu i z westchnieniem patrzył na przygotowujące się do odjazdu okręty.

A musimy tu dodać, że rodzice Robinsona nie pozwalali mu nawet myśleć o obraniu zawodu marynarza.

— Dość już mieliśmy rozpacz z powodu tych dwóch utraconych synów — mówili — niechżeż ten choć pozostanie dla nas na starość.

Ale któż powstrzyma pęd marzeń młodego, rozpieszczonego chłopca?



Nie słuchał rodziców i słuchać nie myślał. Nie wzruszały go prośby ojca i lzy kochającej matki. Do handlu brać się nie chciał, książki pochował do szuflad od stołu i walał się wciąż beczynnio.

Widzimy go i w tej chwili, przechadzającego się nad morzem, z rękami wsuniętymi w kieszenie, gwizdzącego jakąś piosenkę.

— Znowu spacerujesz i wzdychasz do podróży? — rozległ się głos młody, nadchodzącego z przeciwnej strony młodzieńca.

— Robinson obejrzał się po za siebie i z radością poznał w nadchodzącym swego kolebę, tak jak on siedmnaścieletniego chłopca, syna kapitana, który właśnie wyprawiał się w podróż za morze.

— Dzień dobry ci! A cóż? myślisz, że nie pojedę kiedy o tysiące mil za Marsylję? że wiecznie w tym kącie za ladą sklepową mam siedzieć?

Nie, mój drogi kolego, moje marzenia są inne, wyprawię się i ja daleko, daleko...

— Ty?! — zakrzyknął chłopiec ze śmiechem — albo ci na to twój ojciec pozwoli? Najdalej wolno ci popłynąć o dwie wiorsty od Marsylji!...



Podniecony drwinami swego kolegi, Robinson odpowiedział z powagą człowieka dorosłego:

— Mylisz się bardzo! Pozwolenia od ojca nie potrzebuję, i o ile zechcę, dziś jeszcze puszcę się w podróż!..

— A więc w takim razie jedź z nami, kochany Robinsonie. Ojciec mój wyjeżdża swym okrętem do Algeru, poproszę, żeby i ciebie zabrał..

Oczy Robinsona zabłysły wielką radością. Nareszcie spełnić się mogą jego długoletnie marzenia!

Radość samolubna stłumiła w nim wyrzut sumienia, nie pomyślał nawet o rozpaczy, w jaką pograży swym wyjazdem ukochanych rodziców... Spojrzał na cudne błękitne niebo, na falujące u stóp jego morze i postanowił jechać. Zaledwie miał czas na to, aby przez robotnika portowego wysłać do rodziców zawiadomienie, że wskutek niezwykłych i nieprzewidzianych okoliczności zmuszony był wyjechać na kilka tygodni do Afryki.

Jakże szczęśliwym czuł się Robinson wchodząc na pokład, jak dumnym był z tego, że podróż wielomilową będzie odbywał!



Chwila krótka, a odbili od brzegu i znalazł się wobec ogromu fal, przejęty widokiem zupełnie dla siebie nowym, a jednocześnie jakby zatrwożony wielkością i potęgą morza.

Nie żałował, że wybrał się w drogę, że opuścił dom rodzinny i kochającego ojca i matkę, nie pomyślał ani na chwilę o tem, że zakrwawił ich tkliwe serca i, że Bóg sprawiedliwy ukarać go może ciężko za te lzy rodzicielskie, które swem niegodnem postępowaniem wywołał.

Ale naraz, gdy okręt chwiał się i przechylać począł z jednej strony na drugą, zrobiło mu się jakoś niedobrze, potem coraz gorzej, wreszcie bladość tak bardzo mu twarz okryła, że majtkowie, zrozumiałwszy, iż napadła na Robinsona tz. morska choroba, od której nikt, poraz pierwszy morzem jadący wyzwolić się nie może, śmiać się z niego poczęli.

Ci silni, ogorzali od słońca, zahartowani przez wichry i walkę z żywiołem, marynarze, czuli się lepiej na morzu niż na lądzie i dlatego nie chcieli wyrozumieć bólu, tęsknoty lub choroby nowowstępujących na ich drogę. Zapomnieli, jak im było ciężko



i jak chorowali na mdłości w początkach swego zawodu.

Jeden tylko, syn kapitana okrętu a kolega Robinsona, litował się nad nim i ratował go jedynem na takie dolegliwości lekarstwem tj. grogiem. Tak zwano napój składający się z rumu, wody gorącej i korzeni.

Wzmocniło to trochę Robinsona, ale nie skończyły się jeszcze jego męczarnie, gdy posłyszał gwar zatrwożonych majtków i dobiegły do niego coraz to głośniejsze okrzyki — Położenie groźne! do roboty!.. Gdy podniósł głowę z kąta, w którym ułożył go jego kolega, ujrzał wysoko spiętrzone fale, zakrywające prawie ich okręt, szalupę zderającą i biegnącego po pokładzie kapitana, nawołującego do ratowania kajuty, do której już woda wpadała falami, rozbijając okienka i siłą swą wyżłabiając otwory w podłodze i bokach okrętu.

Widząc to wszystko, zrozumiał iż jest zgubiony i że nie ujrzy więcej rodziców, których tak niegodnie opuścił.

Zrozpaczony chciał biedz pomagać, ale siły go opuściły i padł zemdłony na pokład, na którego deski padały olbrzymie fale i لذا chwila mogły go zmieść jak ziarnko



z powierzchni i pograżyć w głębokościach morza.

Naraz uczuł się brutalnie podniesionym z pokładu i jakiś szorstki głos zakrzyknął mu nad uchem:

— Wstawaj do roboty! Nie czas leżeć! Do pompy!

Chciał pomódz biedny, obezsilony chłopiec, ale mała to była pomoc. Osłabiony chorobą i przerażeniem pompował całemi siłami wciskającą się do wyżłobionych bicciem fal otworów wodę, ale tak jego słaba pomoc jak i innych była bezowocną.

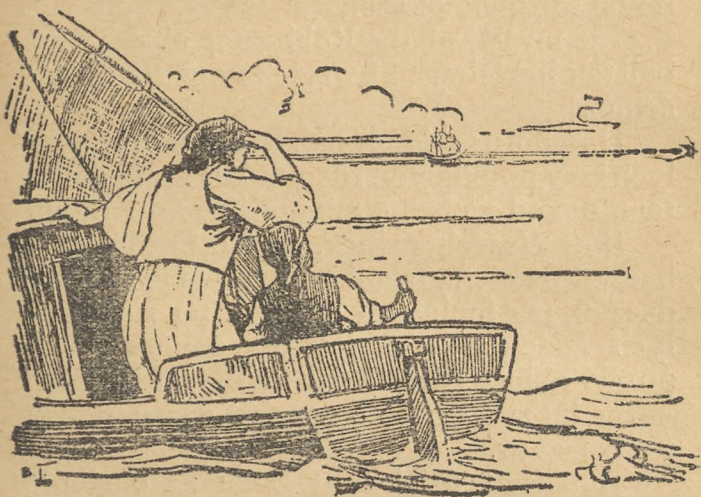
— Ratujcie się, kto może! — zabrzmiał głos kapitana — na nic wasze usiłowania i praca!

Odczepiono łódź ratunkową i tłoczono się do niej, aby nie zapaść wraz z okrętem w toń morską. Zostawionoby Robinsona, gdyby nie jego kolega, wciąż nad nieszczęśliwym czuwający, — Robinson bowiem leżał bezprzytomny w kącie okrętu, nie wiedząc, co się wokół niego działo. Jeden z majtków wziął go na plecy i rzucił do łodzi, która napelniona po brzegi wypłynęła na otwarte morze, walcząc z okrutną siłą żywiołu.



Robinson otrzeźwiał wkrótce i ucieszony ratunkiem, jak mu się zdawało, skutecznym, prosił aby mu pozwolili być pomocnym w wiosłowaniu.

— Nie na twoje to siły, chłopcze — rzekł sternik — ot, wiesz, co możesz nam zrobić?



patrz w dal, czy nie płynie jaki statek lub okręt, a jak tylko dostrzeżesz, wołaj a my damy sygnały, żeby ku nam przyplynał i nas ratował.

Jakoż niezadługo Robinson zauważył w oddali biały punkcik. Punkt ten rośł mu



w oczach, aż doszedł do takich rozmiarów, że i wątpić nie było można, iż jestto zbawczy statek.

Na dawane sygnały, podpłynął ku rzucającej po falach łodzi, wywieszając białą flagę, na znak, że nie wrogiem lecz wybawcą dla nikłej łodzi się okaże.

Nie myślał nigdy Robinson, aby Turcy byli tak litościwymi i względnymi dla chrześcijan.

Ubrano, napojono i nakarmiono przeziębłych i wygłodniałych rozbitków i zawieziono tam, dokąd jechano, mianowicie do Algeru.

Bóg Wszechmogący, co i o każdym robaczku pamięta, ocalił tym razem marną łódyczkę, jak łupina od orzecha po rozszalałych falach płynącą i w serca pogan wlał źródło miłosierdzia i litości dla rozbitków, każąc im zapomnieć o różnicy wiary, mowy i obyczajów.

Robinson dziękował Bogu za ocalenie i obiecywał więcej nie martwić rodziców. Czy spełnił to, co w myśli i sercu obiecał, zobaczymy.



## ROZDZIAŁ II.

### **Pobył w Algerze i na wyspie Maderze — wyjazd do Brazylii — Burza — rozbicie się okrętu o skałę.**

Przybywszy do Algeru, Robinson cały czas spędzał na oglądaniu miasta i zachwycając się jego okolicami. Zapomniał już zupełnie o swym strachu i o chorobie, jaką przebył na morzu, nie żałował swej niefortunnej wyprawy. Z chęcią zostałby tu na dłużej, ale skąd weźmie na dalszy pobyt pieniędzy? Wszak nie ma tutaj nikogo, kto by mu pożyczył. Gotów był potem pojechać do Marsylii, przeprosić rodziców, nigdy bez ich pozwolenia niczego nie przedsiębrać.

Naraz przypomniał sobie, że w Algerze jest kapitan zdruzgotanego okrętu, ojciec jego kolegi. O, ten z pewnością pożyczy mu pieniędzy, wiedząc, że za powrotem do Francji ojciec odda mu z największą radością i wdzięcznością, pożyczoną Robinsonowi sumkę.

Zgłosił się do kapitana z tą prośbą, mając postanowienie wydać to co otrzyma na powrót do kraju.





Kapitan pożyczył mu pieniędzy z łatwością, namawiając aby czempredziej najpierwszym statkiem wracał do rodziców, których rozpacz zapewne jest bezgraniczna.

Robinson miał szczerzy zamiar to uczynić, ale na nieszczęście, żaden ze stojących w porcie statków nie wyruszał do Marsylji.

Trwał ten stan przez dni kilka, a przez ten czas Robinson coraz więcej nabierał chęci do wyprawy w dalekie kraje i coraz dalej od niego była chęć powrotu do domu i ucieszenia rodziców.

— Ojciec surowo ukarze, a ludzie śmiać się będą z mego powrotu — myślał chłopak — chyba nie powrócę jeszcze teraz do kraju...

Zauważył go jeden z kapitanów, którego statek miał wkrótce wyruszyć do Gwinei i zbliżywszy się do Robinsona, zapytał, o czem tak wciąż дума i czyby nie zechciał przejechać się na jego statku, zakupiwszy uprzednio dużo paciorków, świecidełek i różnokolorowych wstążeczek, które łatwo by zamienił na złoto i kosztowne kamienie.

Robinson przystał chętnie na tę propozycję, ciesząc się już z góry, że z pokaźną sumą pieniędzy powróci do ojca i nikt zeń



śmiać się nie będzie, że wraca z nieudanej wyprawy.

Robinson wyruszył ku Gwinei, zapomniawszy o Marsylii, rodzicach i chwilowych wyrzutach sumienia.

Po wielu tygodniach, gdy sprzykrzyła się już Robinsonowi ciągła jednostajność krajobrazu, zatrzymano się na brzegu Madery, wyspy obfitującej w winogrona.

Przez pierwsze dni zachwycała go roślinność i smakowały winogrona, które pełną dłonią zjadał, ale wkrótce znudziło go to wszystko i dowiedziawszy się, że okręt, na którym tu przybył, miał z powodu poważnych reperacji pozostawać czas dłuższy na Maderze, postanowił pojechać gdzieindziej.

Obszedłszy stojące w porcie okręty, dowiedział się, że jeden z nich wyjeżdża za kilka godzin do Brazylii. Natychmiast zawiadomił o swym wyjeździe dawnego swego zwierzchnika i ugodziwszy się z nowym kapitanem, wsiadł na okręt i szczęśliwy, że ujrzy kraje, o których marzył, odплыł.

Co przyniesie mu ta odległa podróż, jaki los zgotuje niepoprawnemu awanturnikowi, dowiemy się w następnej części.



Cuda natury, jakie napotykał Robinson na swej drodze, jadąc do Brazylii, były tak wielkie, że napępiały go nigdy dotąd nie doznany zachwytem i pogrążyły w stan upojenia i wielkiej radości z życia.

Całemi godzinami wpatrywał się w olbrzymie szczyty góry Teneryfy, ozłoconej słońcem i rzucającej odblask swój na wody morza.

Gdy znikła z przed oczu, napawał wzrok całemi jakby obłokami rybek złotołuskich, które unosiły się nad falami morza, oświetlając jego miotającą się pianę.

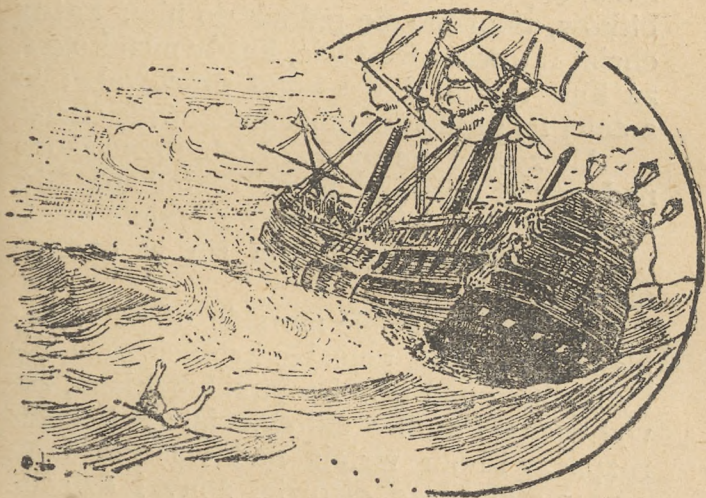
Cudna pogoda sprzyjała z początku owej wyprawie ale naraz zaczęła się zmieniać. Szalone wichry w połączeniu z chmurnemi obłokami napępiały serca podróżnych smutkiem i jakimś przecuciem nieszczęścia.

Wiatr huczał przeraźliwie, miotał falami, uderzając niemi po bokach okrętu i wygwizdując dzikie jakieś melodje. Zaciemniło się wokoło, rozszalała się burza na dobre, sternik oznajmił przerażonym podróżnym, że zmylił drogę, nie wie i nie widzi niczego prócz okropnych ciemności i, że zdawszy się na Opatrzność, jechać będzie na chybiłtrafił,



wypatrując kawałek ziemi, gdzieby wylądować byli w możności.

Naraz obserwujący w tz. gnieździe, majtek wykrzyknął radośnie: Ziemia! Ziemia w pobliżu!



Nie zdążono jeszcze wydać okrzyków radości, gdy naraz straszna skała podwodna, której wpośród ciemności dostrzec nie było można, z całą siłą wtoczyła się w przód okrętu, wywiercając otwór, przez który mo-



mentalnie woda strugami poczęła się wdzie-  
rać, pogrążając coraz głębiej okręt w falach  
wzburzonych morza.

Okrzyk rozpaczy wydarł się z piersi  
obecnych. Łódź ratunkowa była nazbyt  
mała; aby módz pomieścić wszystkich roz-  
bitków, tłoczono się jednak do niej, każdy  
chciał ratować swe życie, każdy miał kogoś,  
za kim tęsknił i dla kogo pracował, nikt  
z całej tej gromadki ludzi umierać nie chciał.

Ale żywiół nie pyta... Łódź przeciążona  
nad miarę, porwana przez rozhukaną falę,  
zakręciła się w kółko i wraz z jękiem ostat-  
nim rozbitków pogrążyła się w otchłań  
morską.

Zajęczały żałośnie morskie odmęty, za-  
plakały niebiosy, rzucając krople dżdżu, ni-  
by lzy bólu nad tyłu istotami ludzkimi, za-  
wyl wicher i utuliły chłodne fale... Ileż łez  
rozpaczy i bólu wyleją nad waszym koń-  
cem, matki wasze, ojcowie, żony i dzieci!..

---



## CZEŚĆ II.

### ROZDZIAŁ I.

**Cudowne ocalenie Robinsona — Wyrzucony na wyspę bezludną znajduje z trudem pożywienie — Nocleg na drzewie.**

Nie przeznaczonem było Robinsonowi, zginąć w głębokościach morskich. Bóg dobry chciał mu dać czas jeszcze do obżalowania swego postępku, do poprawienia lekkomyślnego swego życia.

Fala unosząca Robinsona z pod łódki, na którą się schronił, rzuciła go na sterczącą w pobliżu, urwistą skałę i uderzeniem o nią, przywróciła biednemu chłopcu przytomność.

Jakby z długiego snu obudzony rozejrzał się Robinson, a zobaczywszy, gdzie jest, rzucił się ku jedynej drodze ratunku, którą

była zbawcza na teraz skała i czempredzej poczał się na nią wdrapywać.

Rozpacz dodaje siły. Robinson pomimo głodu i osłabienia zdołał wejść na szczyt skały, poczem zsunąć się na grunt porosły trawą i roślinami o dużych liściach i szkarłatnych olbrzymich kwiatach.

Stanąwszy na gruncie, padł na kolana, w kornej modlitwie dziękując Bogu za ocalone życie.

Nie zważał na to, że jest sam na tej olbrzymiej wyspie, albo też, że jest na ziemi zamieszkałej przez plemię ludożercze Karaibów, którzy w stronach tych podobno mają swoje siedziby.

Radowała go myśl, że jest przy życiu, że nie zginął jak tamci nieszczęśni w falach morza na żer rekinów i ryb żarłocznych.

Chcąc poznać wyznaczoną mu przez los miejscowość, Robinson poczał biedz przed siebie, rozglądając się wokoło ciekawie. Naraz ujrzał, że tarcza słoneczna bardzo szybko poczyną się ściemniać i strach go ogarnął, gdzie noc spędzi i czy dziki zwierz lub jadcowite węże, których w krajach gorących tak



wiele, nie ukróca mu życia, tak cudownie dziś ocalonego.

Wziął się na zwykły sposób ludzi nie mających w podróży noclegu. Uchwycił się pnia dużego drzewa i wdrapawszy się wysoko, objął gałąź obu rękoma a zmówiwszy swą zwykłą modlitwę usnął niebawem.

Sny ciężkie trapiły biednego Robinsona. Cóż dziwnego! Tyle przebył, tyle przecierpiał przez czas tak krótki, że majaczenia gorączkowe były naturalnem następstwem przejść wszelkich i wypadków.

Naraz widzi we śnie ukochanych swoich rodziców, siedzących w stołowym pokoju, widzi smutkiem powleczone twarze i włosy od zmartwienia zbielełe. . .

Przejęty tęsknotą i miłością ku tym najdroższym, których napełnił rozpaczą, wyciąga ku nim ramiona i wołając: Moi drodzy, moi kochani rodzice, oto jestem z powrotem! — pada na murawę z ułamaną jednocześnie gałęzią, którą podczas snu obejmował. Szczęściem padł na podłozę z mchów i paproci, nie wyrządziwszy sobie krzywdy. Nie mogąc jednak już usnąć, doczekał ranka, postanawiając wyszukać sobie jakiegokolwiek pożywienia.



Idąc drogą mniej od innych zarosłą, wy-  
patrywał Robinson drzew, na których wisia-  
łyby tak pożądane przez niego owoce.

Biedak wspomniał sobie dawne życie  
w Marsylji i gorzko błęd oplakiwał.

Tam, u rodziców, o tej porze leżałby jesz-  
cze w ciepłym i wygodnym łóżeczku, a dłoń  
kochającej matki, stawiałaby mu przy łóżku  
ulubione przysmaki i mleko. A oto teraz  
idzie głodny i spragniony i napróżno wyglą-  
da czegoś do jedzenia zdatnego.

Otrząsnął się jednak z tych smutnych  
myśli i zdał się na wolę Bożą. Jakby w na-  
grode tego ujrzał przezrocze źródelko wy-  
tryskające ze skały a ugasiwszy pragnienie,  
rażniej zabrał się do poszukiwań.

Idąc prosto przed siebie dotarł do brze-  
gów morskich, gdzie spostrzegł dużo ostryg  
wyrzuconych przez przypływ morza i wczor-  
ajszą szaloną burzę. Z radością podbiegł  
do muszli, cóż jednak za zawód go spotkał!  
Lupiny od ostryg były puste!

Zrozpaczony zaczął szukać z podwójną  
gorliwością i znalazłszy kilka, roztworzył  
muszle i choć tą odrobiną głód zaspokoił na  
chwilę. Wróciwszy na miejsce, gdzie stało  
drzewo, na którym spoczywał w nocy, roz-



myślać zaczął nad tem, że przecie, tak przez czas nie wiedzieć jak długi, sypiać nie będzie w możności. Postanowił poszukać jakiej groty, w którejby mógł się schronić i spoczywać, a znalazłszy takową obsadził drzewami, poczem nasuszył siana z traw bujnie tutaj rosnących i przygotował sobie poślanie, po raz pierwszy od przybycia na odludną wyspę zasnął spokojnie i wygodnie.

Obudziwszy się przemyślał zaczął nad tem, jakieby jeszcze pożywienie oprócz ostryg, w małej ilości na brzeg wyrzucanych, mógł znaleźć.

Zjadłszy parę ostryg i popiwszy je wodą źródlaną, wyruszył na poszukiwanie.

Nachodziwszy się dzień cały, zmartwiony bezowocnem poszukiwaniem, zawracał już ku swej grocie, gdy naraz spostrzegł szerokolistny krzew, u góry zakończony kulą. Wdrapawszy się na wierzchołek wyrwał olbrzymi i bardzo ciężki owoc i zeszedłszy na trawę, przyglądać mu się począł. Cóż, kiedy skorupa okalająca ten dziwny owoc była tak twarda, że nie mógł myśleć o jej rozbięciu i zajrzeniu do wnętrza. Udało mu się tylko narazie wyłobić otworek, a gdy zaczęło z niego płynąć jakby mleko, spróbo-



wał i przekonawszy się o wspaniałym smaku tego roślinnego napoju, postanowił do niego się dostać. Oстрыm krzemieniem powoli rozłupawszy orzech, znalazł w nim jądro duże i smaczne, oblane słodkiem i orzeźwiającym mlekiem. Nasyciwszy się orzechem, który, jak się okazało zwał się kokosowym, pełen ufności, że nie umrze tu z głodu, tembardziej, że dużo podobnych drzewek znajdowało się w pobliżu, wrócił Robinson do zagrody, dziękując Bogu za opiekę i troskliwość o każde stworzenie. Z łupin kokosowego orzechu Robinson skorzystał w ten sposób, że użył je do czerpania wody ze źródła, do czego okazały się nadzwyczaj odpowiednie.

Nazajutrz była według obliczenia Robinsona niedziela, postanowił dzień ten Bogu poświęcić, modląc się i dziękując za doznawane do tej pory dobrodziejstwa.

## ROZDZIAŁ II.

**Poszukiwanie żywności — Zabicie lamy — Rozpacz z braku ognia — Nadaremne próby.**

Po paru miesiącach przebywania na wyspie, spostrzegł Robinson, że coraz to zmniejsza-



szala się ilość orzechów kokosowych i coraz mniej pojawiało się na brzegu morza ostryg, przez fale wyrzucanych.

Zasmucił się tem nasz rozbitek, ale wkrótce uspokoił się myślą, że przecie ani części wyspy jeszcze nie zwiedził, że być może gdzieś dalej są i drzewa kokosowe i inne jakie owoce, któremiby swój głód zaspokoił.

Bał się wprawdzie zapuszczać w głąb wyspy, ale nie uśmiechała mu się także i śmierć głodowa.

Zrobił więc sobie parasol z liści olbrzymiego krzewu, worek podróżny z włókien pnącej się u grotu rośliny i wyruszył na poszukiwanie pożywienia.

Idąc powoli obserwował krzew każdy i każde najmniejsze drzewko, czy nie dźwiga na swych gałęziach jakiego jadalnego owocu.

Przeszedłszy już duży kawał drogi zauważył roślinę o bardzo szerokich liściach z kwiatami fioletowymi, na której zwieszały się ku dołowi owoce w kształcie małych jabłuszek.

Wziął to do ust, ale zaraz odrzucił ze



wstrętem. Było to coś okropnie gorzkiego i niesmacznego.

— Niezawodnie trucizna — pomyślał Robinson i ze złości wyrwał roślinę z korzeniem, odrzucając ją ze wzdrganą na trawę. Ze zdziwieniem spostrzegł na korzeniach rośliny bulwy mniejszej i większej objętości przyczepione do włókien.

— A może mi się to przyda?.. to coś osobliwego. Zabiorę z sobą i zobaczę co za użytek z tego mieć będę.

Były to jak się okazało ziemniaki, przywiezione do nas z Ameryki, gdzie rosły w stanie dzikim.

Włożywszy znaną roślinę do torby, Robinson wyruszył w kierunku spostrzeżonych przez siebie dużych krzaków. Naraz strach nim owładnął. Przystanął i wsłuchiwał się w dziwny jakiś szelest. Ludzie to czy zwierzęta? — zapytywał siebie w przerażeniu nieszczęśliwy wędrowiec. — Boże! może to dzicy ludzie!

Ale uspokoił się wkrótce. Z poza krzaków wysunęło się stadko ślicznych białych lam, o długim, ku ziemi opadającym włosie, wielkości mniej więcej dużego żrebaka a z postaci podobnych do wielbłąda.



Robinson znalazł te zwierzątka z obrazków i wiedział, że są bezbronne. O, z jakąż rozkoszą zjadłby kawałek mięsa, jak łaknął już czegoś pożywniejszego nad orzechy kokosowe i ostrygi!

— A nuż mi się uda! — pomyślał i skrył się za krzakiem, trzymając w obu dłoniach swą kamienną siekierę, gotową do zadania ciosu.

Zwierzątka przechodziły zdaleka, ale naraż jedna z nich odłączyła się od stada i skubać poczęła trawę w pobliżu Robinsona.

Z całej siły uderzona siekierką, padła z ostatnim jękiem u stóp niespodziewającego się takiej zdobyczy rozbitka.

Uszczęśliwiony połowem, zawrócił ku domowi, rozmyślając nad dobrocią Boga, który tak cudownie nad nim czuwał i chronił od głodu.

Przybywszy do swej groty zaraz zabrał się do zdzierania skóry z lamy, zamysłając zrobić sobie obuwie, bardzo zdarte już od ciągłych wędrówek i poszukiwań.

Wyciąwszy z lamy największe i najsmaczniejsze kawałki, zawiesił je na dwóch spojonych z sobą gałęziach, aby upiec to i jaknajprędzej spożyć.



Naraz załamał ręce w rozpacz i z ust jego wyszła skarga, jak u bezbronного dziecka:  
— Ognia! nie mam ognia! Na czym upiekę?...

Przypomnił sobie, że w opisach wyczytywał nieraz sposób praktykowany przez dzikich, mianowicie, tarcie drzewa o drzewo. Rozpoczął tę czynność, ale po nadaremnych wysiłkach, spróbował przyrządzić mięso na sposób tatarski.

Wyszukał dwa duże płaskie kamienie, włożył pomiędzy nie mięso i z całej siły bić w nie począł swym kamiennym młotem.

Kamienie rozgrzały się po kilku godzinach bicia młotem, wtedy wyjął Robinson mięso i zjadłby natychmiast, gdyby nie nowy brak go zaskoczył. Mięso bez soli smakować mu stanowczo nie mogło. Skąd wziąć soli? Przyszła mu myśl skropić je wodą morską, wybiegł więc nad morze z lupiną orzecha kokosowego, aby jej nabrać, a po drodze do morza natknął się na drzewo cytrynowe, całe owocami pokryte. Urwał ich kilka i powróciwszy do swego zamieszkania, skropił wodą i sokiem cytrynowym owe nawpół surowe ale bardzo kruche pieczone i spożył z apetytem.



Chwila jedna, a cała połędwica z lamy była spożyta i Robinson po raz pierwszy czuł się naprawdę najedzonym.

### ROZDZIAŁ III.

**Pierwsza burza z piorunami—Rozniecenie ognia przez piorun—Radość Robinsona—Pierwsza pieczeń—Postanowienie złapania lamy żywcem.**

Pokrzepiony mięsem z lamy Robinson zasnął tak mocno, że ani razu w ciągu nocy nie zbudził się nawet na chwilę.

Zdrów, wesół i zupełnie wypoczęty zerwawszy się z swego posłania wybiegł przed grotę i z przerażeniem cofnął się do wnętrza. Podczas, gdy tak smacznie zasypiał, piękna wczorajsza pogoda zamieniła się w ulewę połączoną z grzmotami. Niebo zasnuwane było chmurami, raz po raz rozlegały się odgłosy padającego gdzieś pioruna, a przeświadczenie, że się jest samym wśród rozszałego żywiołu, napępiało grozą biednego rozbitka.

Robinson z przestraczem oczekiwał huku piorunu, myśląc, że może ten właśnie zakończy jego życie, wreszcie, gdy się na chwilę uciszyło, sądząc że już wyjść może z gro-



ty i wyruszyć na polowanie, przeszedł próg swego zamieszkania. Naraz huk straszliwy rozerwał powietrze, huk tak głośny, że Robinson padł ogłuszony na ziemię, wydając tylko okrzyk: Jestem zabity!

Po niejakiem czasie przyszedł do przytomności i pierwszym widokiem, jaki weń uderzył był obraz palącego się obok grotty drzewa. Piorun uderzył weń i snop palących się iskier dolatywał aż do Robinsona, który, wydawszy okrzyk radości podbiegł do płomieni, dziękując Bogu za rozniecenie piorunem ognia.

Czemprędzej, gdy się już rozjaśniło zawiesił kawał lamy, a gdy się upiekła, poraz pierwszy zajaśniał prawdziwe pieczone, upieczone na ogniu z nieba zesłanym. Martwiła go tylko myśl, jak utrzyma płomień, w jaki sposób zachowa je na czas dłuższy, aby móżdż zjeść coś ugotowanego lub upieczonego.

— Nic innego mi nie pozostaje do zrobienia, jak dokładać wciąż drzewo, aby nie zgasło...— Wreszcie, przyszła mu myślenie szczęśliwa do głowy urządzić stos z drzewa, tak jak robią węglarze, aby wypalać węgiel drzewny...



Wziął więc Robinson swoją kamienią motykę, wykopał dół, nakładł drzewa i rozpałił, układając do dużej wysokości stos z gałęzi i drzewa.

W ten sposób miał zabezpieczony ogień na kilkanaście godzin, poczem zacznie dokładać aby nie zagaśł. Uspokojony co do ognia, ułożył się do snu, zamyślając iść nazajutrz na polowanie zwierzyny, lama bowiem przez niego zabita, na trzeci dzień była już cuchnąca i do jedzenia niezdatna. Straszliwe upały nie pozwalały przechowywać mięsa przez czas dłuższy.

Zbudziwszy się nazajutrz, pełen radości ujrzał stos swój jeszcze płonący, a nie mając niczego do upieczenia, zjadł połowę kokosowego orzecha i wyszedł.

Nie znalazł wprawdzie ostryg, ale spostrzegł pełznącego ku morzu żółwia. Złapał go, zarzucił w worku na plecy i przyniósłszy do domu, zabił i ogołociwszy ze skorupy, zdziwił się wielkością tego stworzenia.

Upiekłszy kawałek, resztę oblał wodą morską i włożywszy do żółwiej skorupy zakopał w ziemi. W ten sposób postanowił zakonserwować mięso i udało mu się to doskonale.



Miał ogień, miał pożywienie, ale brakło mu najważniejszej rzeczy: towarzystwa ludzkiego. Jakżeż byłby szczęśliwy, gdyby mógł podzielić się tym kęsem mięsa z kimś drugim, gdyby mógł choć słowo do kogo przemówić i otrzymać jakąkolwiek odpowiedź.

Chodząc koło groty, zajęty myślami smutnymi o rzeczywistości, o swem osamotnieniu, spostrzegł nad otworem do groty wiodącym pająka snującego sieci.

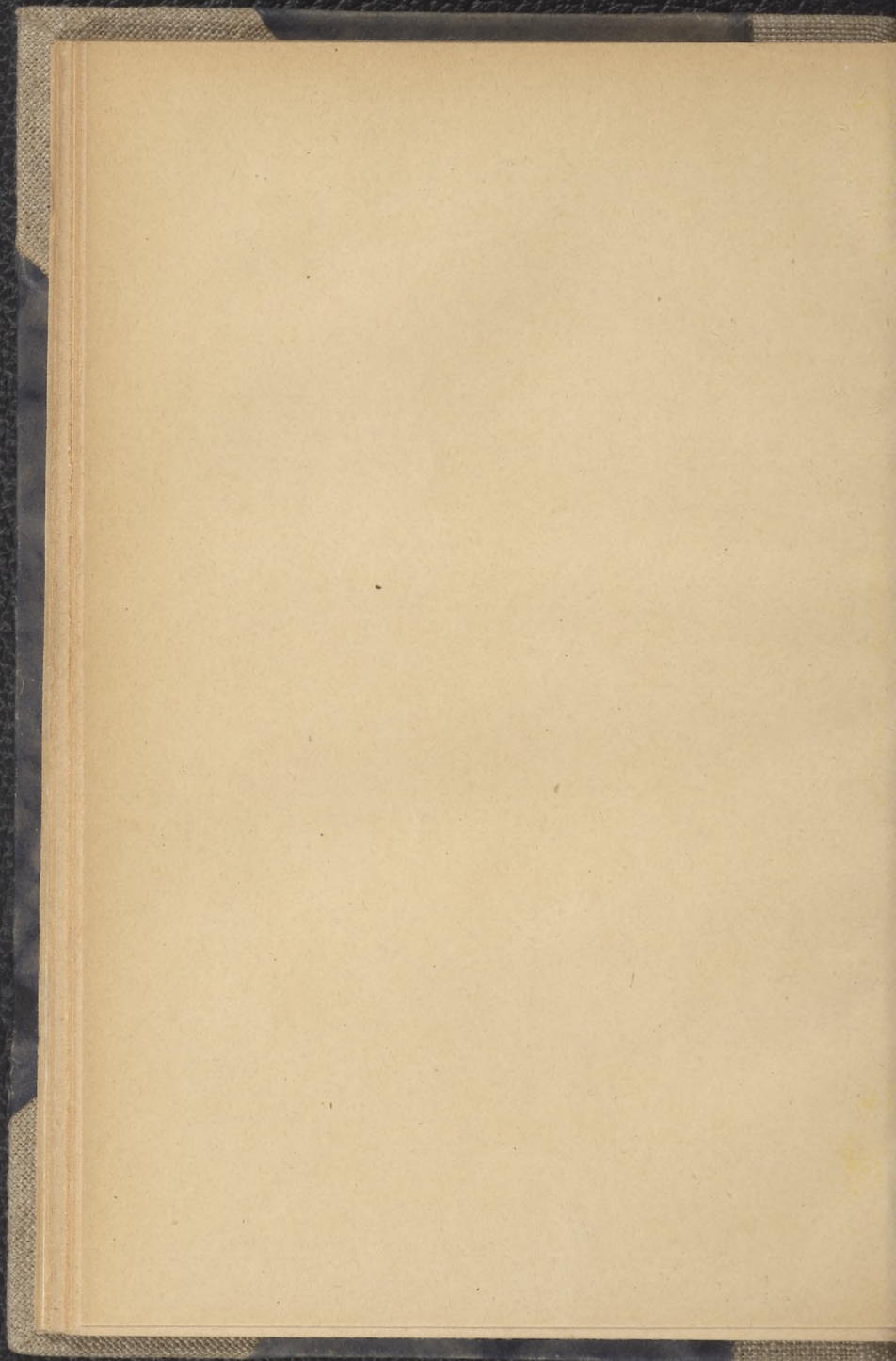
Widok ten ucieszył go bardzo. — Ach kochane stworzonko! jakżeś pocziwe, że obrałeś tę smutną siedzibę samotnika za mieszkanie, że tu w tej mojej grocie urządziłeś swój warsztat!

Uszczęśliwiony tym małym przyjacielem, przyniósł pająkowi parę much i co jakiś czas starał się mu dostarczać pożywienia.

— Muszę — myślał Robinson — oswoić sobie jakieś zwierzątko, na przykład lamę. We selej mi będzie mieć kogoś żyjącego i o kimś mieć staranie. Postanowił iść nazajutrz na polowanie i złapać żywe zwierzątko, tymczasem zawarł kamieniem otwór groty i ułożył się na posłaniu z mchu. Wkrótce sen ciężki, koiciel trosk i tęsknot wszelkich skleił mu powieki i kazał zapomnieć o wszystkim,









#### ROZDZIAŁ IV.

**Robinson znajduje żółwie. — Złapanie lamy i dwojga jagniątek. — Trzęsienie ziemi. — Ucieczka. — Uciszenie się żywiołów. — Robinson łapie papugę.**

Nazajutrz, wczesnym rankiem, poszedł Robinson w stronę morza, rozmyślając nad sposobem złapania żywca lamy. Przekonał się, że nie zrobi tego inaczej, jak za pomocą sznurka, którym opasa szyję zwierzęcia i przyprowadzi do domu.

Wyszedłszy daleko poza grotę, stanął z podziwem nad brzegiem morza i nagle przyszła mu myśl wykąpania się. Dziwił się nawet, że wprzód nie przyszło mu to do głowy. Wskoczył i orzeźwiony zaczął się rozglądać wokoło. W zagłębieniu jednej ze skał ujrzał mnóstwo ostryg i żółwi, wyrzuconych w czasie przyływu przez fale. Ucieszył się z tego odkrycia, spokojny był bowiem o pożywienie. Kąpiąc się dalej zauważył jakieś białe przezroczyste kryształki w szparach wybrzeży. Z jaką radością przekonał się, że to była



tak pożądana przez niego i tak nieodzowna do potraw sól prawdziwa.

Dobrze zapamiętał sobie to miejsce, aby po morskiej kąpeli popłynąć do niej z jakim naczyniem.

Zadowolony z odkryć wrócił do domu, zamysłając nazajutrz od wczesnego ranka rozpocząć wędrówkę.

Noc przeszła spokojnie, ranek zaświtał tak cudny, jakiego Robinson jeszcze nie widział, zapowiadało się na piękną pogodę, tak bardzo mu w podróży potrzebną.

Zabrawszy torbę, parasol i opasawszy się sznurkiem, który miał służyć do złapania lamy, wyszedł z groty, ciesząc się, że gdy powróci ze zwierzątkiem, nie będzie tak samotny, jak obecnie.

Szedł przyspiewując nawet, tak uroczo było na świecie. Jeszcze nigdy nie widział tu tylu ptaków różnokolorowych, nie słyszał tylu przeróżnych śpiewów. Zdawać się mogło, że koncert urządziły te cudne ptaszęta, że jakaś wielka u nich obchodzona była uroczystość.

Papug było wielkie mnóstwo. Przelatywały nad nim, dotykając prawie różnokolorowem pierzem, ale, ile razy Robinson



chciał złapać którego z ptaków, uciekał tak zręcznie i szybko, że ani myśleć było o dogonieniu.

— Czekajcie! znajdzie się i na was sposób... niech tylko tu się rozejrzę, znajdę wasze gniazda, a będziecie moje, miłe ptaszęta — myślał Robinson.

Naraz ujrzał stado upragnionych zwierzątek, pasły się opodal, ani myśląc o grożącym im niebezpieczeństwie.

Robinson ukrył się za gęstym krzewem i ze sznurkiem w ręku oczekiwał ich zbliżenia.

Jedna z lam odłączyła się od stada i zając poczęła rosnącą tuż u krzaku trawkę.

— Mam cię! — pomyślał Robinson i tak zręcznie zarzucił sznur na szyję biednego zwierzątka, że ani kroku ku ucieczce nie mogła wykonać.

Wyskoczywszy zza krzaka wprowadził swą lamę, gdy naraz, cóż za zdziwienie i radość!.. Dwa jagniątko, widocznie dzieci uwięzionej, w podskokach biedz zaczęły za uwięzioną matką. Nie wiedząc i nie rozumiejąc, że lamie stała się krzywda, lizać ręce Robinsona poczęły, i szły obok niego, jak oswojone pieski.



— Nie bójcie się — mówił uradowany Robinson — nic się ani waszej matce, ani wam nie stanie, będziecie pod dobrą opieką, jeść i pić będziecie miały poddostatkiem...

Małe stadko przywiedzione przez Robinsona do groty, uwiązano u drzewa na tymczasem, z czego korzystając jagniątka zaczęły się zaraz posilać smacznem mlekiem lamy.

Ponieważ było już późno, nasz myśliwy, naznosił swym zwierzątkom świeżej trawy i wody, poczem bardzo znużony ułożył się do snu.

Spał mocno godzin kilka, naraz huk straszliwy go obudził.

Wskoczył przerażony i cóż widzi? Straszliwe huki rozdzierają powietrze, wyrzucają kamienie do góry, wyrrywają krzewy, a niebo zasnuwane chmurami, coraz to błyskawicami przerzniete... Cała grotka trzęsie się jak do upadku, przerażone lamy uciekają becząc żałośnie, a ziemia drży cała i morze falami swemi rzuca się i miota i jakby jęk z głębi wydobywa.

Robinson zrozumiał jakie mu groziło niebezpieczeństwo, wiedział, że w gorących krajach i na wyspach wulkanicznych trzę-



sienie ziemi obraca w ruinę wszystko. Biegł więc jaknajdalej od swego zamieszkania, a za nim strwożone zwierzątka. Kierował się ku górze, na którą skryć się pragnął, gdy naraz, cóż widzi?.. Góra rozdziera się na dwoje, a z wewnątrz wybuchają płomienie, popiół, piasek; gruzy, a ponad tem wszystkim dym unosi się gęsty, a lawa całą jakby rzeką zalewa rośliny, krzewy i ku grocie naszego rozbitka już pędzi.

Obejrzał się po za siebie Robinson—ani lam ani groty nie widzi... Wszystko, wszystko zniszczone! Wdrapał się na drzewo i nad możliwością utraty życia rozmyślał.

A wokoło rozlewała się lawa, huczały pioruny, niebo rozdzierały błyskawice... Robinson wtulił głowę w liście rozłożystego drzewa i czekał końca.

Ale Bóg miłosierny ulitował się nad swym biednym tworem; przytulonemu do liści, drżącemu z przerażenia ukazał promyczek jasnego nieba i uciszył huragan.

Zaświtało. Robinson zszedł z drzewa i kierować się począł ku grocie. Co ujrzy? Zniszczenie zapewne i śmierć swych ukochanych zwierzątek.



Cóż jednak za radość! Oto lama ze swymi maleńkimi biegnie ku niemu i radosnym go wita bekiem. Liżą mu ręce, cieszą się wzajemnie i prowadzą do groty. O, dziwo! grotka caluteńka, oderwał się tylko szczyt skały i gdyby Robinson nie uciekł wtedy i spał w dalszym ciągu, zabiłby go napewno.

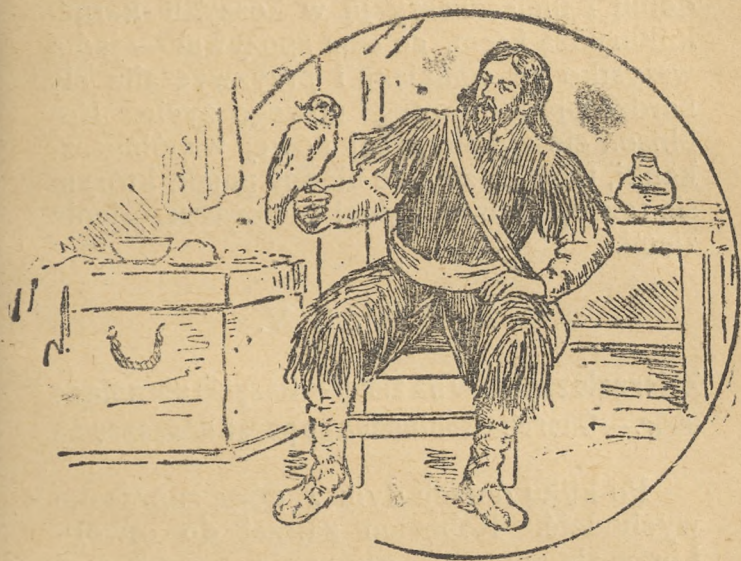
Jakżeż dziękował Bogu, jakżeż korzył się przed Nim, widząc cud nad sobą zdziałany. Oto ma znowu swe drogie lamy, ma kącik, który po naprawieniu szczytu, służyć mu lata całe może...

Ale co stało się z polem zasadzonym kartoflami? Pewnie deszcz ognisty wybuchł z góry zalał pole i pozbawił go tego wspaniałego dodatku do mięsa...

I to mu pozostało. I to nietknięte! Czempredzej nakarmił swoje miłe zwierzątka, sam się pożywił i rozpoczął odwalać kamień, który wpadł do groty i zajmował mu całe prawie schronienie. Przy pomocy drągów wysunął po za otwór na drogę, dach zaś przykrył drzewem i mnóstwem siana i gałęzi, poczem spojrzął na górę. Dym jeszcze wychodził, ale cicho było wokoło i pogodnie. Niebo błękitem swym radowało serce Robinsona, ptaki zabawiały go swym szcze-



biotem, a widok ocalonych zwierzątek pod-  
nosił myśl jego do Stwórcy, Który to  
wszystko dał i zachował.



Wyszedłszy poza górę spostrzegł mnóst-  
wo ślicznie opierzonych papużek, które jak  
zauważył, wylatywały wciąż z poza jednego  
krzaku. Podbiegł do niego i zobaczył dużo



łebków papuzich, złapał jedną ptaszynę, reszta zaczęła uciekać.

Dziobem i pazurkami broniła się papuga, ale na nic się to zdało, Robinson zaniósł do domu i umieściwszy ją w koszyku karmił kukurydzą i tem, co sam spożywał — jadła wszystko ze smakiem i przyzwyczaiła się bardzo prędko do tego nowego życia. Robinson cieszył się z tej nowej współmieszkancki, tembardziej, że biedny pajak, którym się tak opiekował, zginął podczas trzęsienia ziemi.

## ROZDZIAŁ V.

**Zbieranie zapasów na zimę. — Uszycie ubrania ze skór. — Choroba Robinsona po porze deszczowej.**

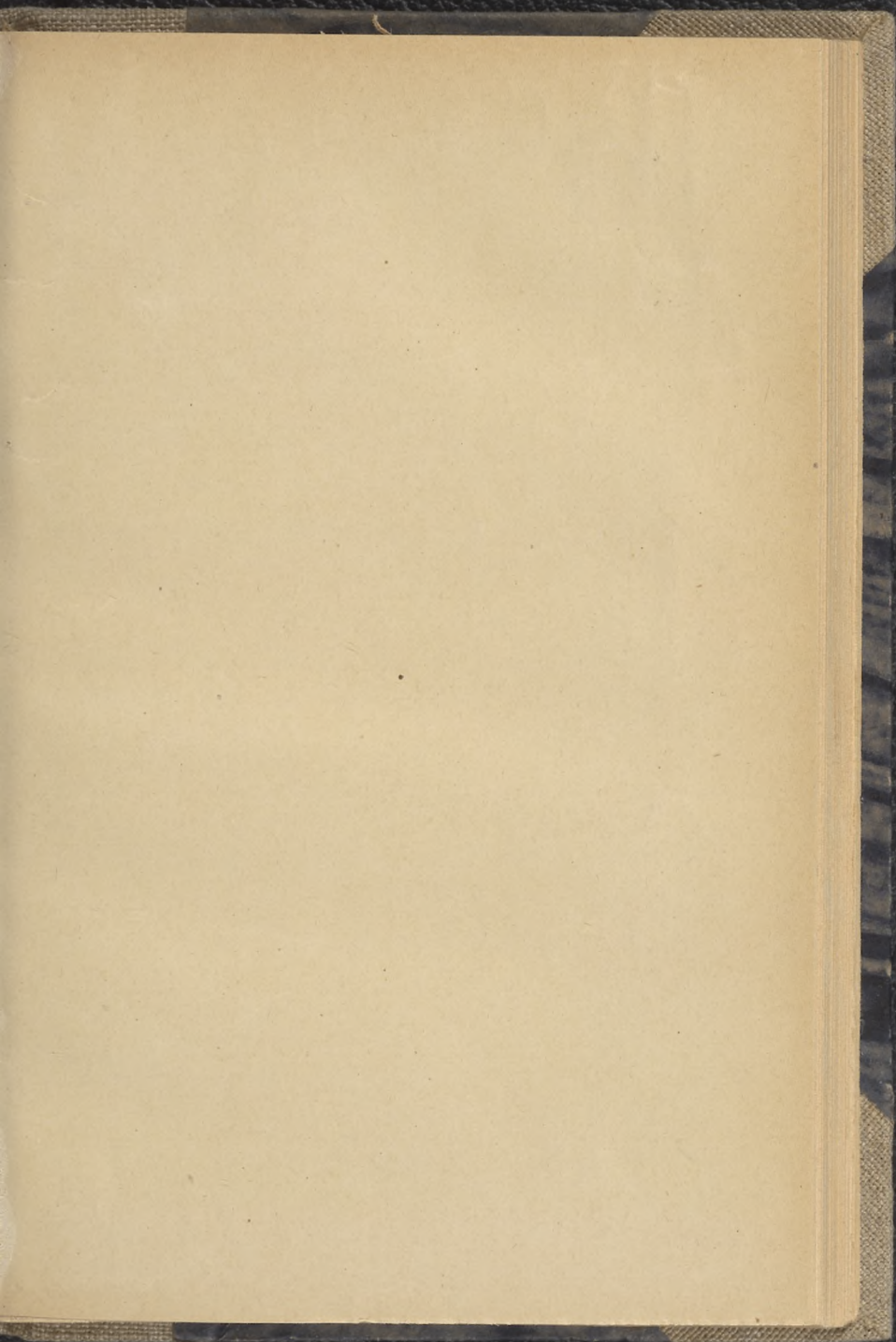
Po kilku dniach dym z góry zaprzestał wychodzić. Robinson zajrzał do otworu i przyszła mu myśl, czyby nie spożytkować tego otworu na piwnicę do przechowywania mięsa.

Nadało się to najzupełniej. Robinson wyruszył na polowanie i upolowawszy dziewięć dużych lam, odarł ze skóry i wyrznąw-











szy mięso uwędził je i przechował na czas zimowy w piwnicy.

Lamy nie zbliżały się już tak do niego, jak dawniej, zauważyły widocznie utratę swych towarzyszek i zrozumiały, że i je los ten sam może spotkać. Uciekały przed Robinsonem, gdy uzbrojony w swą kamienną siekierkę czatował na zdobycz. Wziął się tedy na sposób i wykopał dół w miejscu, gdzie zwierzęta te widywał najczęściej. Biedne lamy wpadały w dół i nie mogąc się z niego wydostać, zabijane były przez Robinsona. W ten sposób piwnica była pełna mięsiwa i spokojnie czekać było można na zbliżającą się, jak się zdawało Robinsonowi, zimę.

Tymczasem postanowił sobie zrobić ubranie, był bowiem odarty jak nędzarz, nawet i koszuli nie posiadał, gdyż zawiesił jej szczątki nad brzegiem morza, na wzgórzu, z napisem w języku francuskim i angielskim: „Wyspę tę zamieszkuje człowiek“. Jakżeż żałował, że tylko w tych językach mógł to napisać! Czemuż nie chciał się uczyć?!...

Ubranie ze skór zwierzęcych uszył w ten sposób, że ością od ryb robił otwory i zcze-



piał jeden kawałek z drugim za pomocą włókien.

Po uszyciu przejrzawszy się w strumyku, wybuchnął śmiechem. Ach! jakże dziwnie wyglądał! Gdyby go rodzice ujrzeli, nie poznaliby napewno...

Ale wszak chodzić jak murzyni bez ubrania nie mógł. Pocięłyby go zjadliwe komary i muchy, wreszcie nieprzyzwyczajony był do takiego chodzenia bez odzieży.

Czekał teraz spokojnie na zimę, dziwiąc się, że już koniec października, a pogoda wciąż jednak piękna i upały nie do wytrzymania.

Ale razu pewnego, gdy wstał rano, po dniu ślicznej pogody, ujrzął potoki wody przed grotą i deszcz ulewny, który trwał dzień cały i przez parę miesięcy padać nie ustawał.

Straszne to były miesiące dla Robinsona. Bezczylnie siedział w swej grocie, co czas jakiś tylko karmiąc swoje lamy, lub przyrządzając dla siebie pożywienie.

Z nudów zaczął wyrabiać z gliny różne miski i garnczki i wysuszać je w swym stosie utrzymującym ogień. Dużo popękało, dużo potłukło się, ale Robinson doszedł wkońcu



do tej doskonałości, że przybrały fo rme właściwą garnkom i były mu użyteczne.

Po dwóch miesiącach Robinson z radością ujrzał znów błękit nieba i śpiewające ptactwo, a sądząc, że teraz właśnie nastąpi zima, zdziwił się ogromnie, widząc, że powraca znów upalne lato, a zimą były widocznie owe dni ulewy.

Ucieszywszy się tem odkryciem zabrał się do roboty naczyń kuchennych, zrobił lampkę, napelnił ją tłuszczem zabitej lamy i zapalił. Ale lampka pękła natychmiast, wykazując brak czegoś koniecznego do trwałości naczynia.

Naraz, gdy rozmyślał nad ulepszeniem swych glinianych wyrobów, poczuł drżenie wszystkich członków i ból silny głowy.

— Boże! jestem chory, co pocznę! — zawołał Robinson przerażony.

Dreszcze wstrząsać nim poczęły tak silnie, że zmuszony był dowlec się do posłania i położyć.

Dorzuciwszy jeszcze z wielkim trudem kilka kawałków drzewa do ognia, postawił przy posłaniu skorupkę żółwią napelnioną wodą i położył parę cytryn do orzeźwienia się. Oto wszystko co miał na swój ratunek!



A przytem ani matki, któraby ochładzała rękami jego rozgorączkowane czoło, ani ojca, któryby przykrył ciepłemi kołdrami zlodowaciałe jego członki... Biedny, biedny Robinson!

Gorączka była tak silna, że chory stracił przytomność. Zdawało mu się, że jest w domu, że pielęgnuje go matka, że ojciec daje mu jakieś lekarstwa. To znów rzucił się na swem nędznem pośłaniu, pewny będąc, że jest na morzu, że straszliwa burza wyrzuca go na brzeg morski. Wydawał przytem różne okrzyki i jęki, które w pustce tej rozlegały się daleko i przerażały nawet leżące u stóp jego lamy. Nad ranem gorączka się zmniejszyła. Obezsilony dorzucił drzewa, wypił wody z cytryną i dowlokłszy się do pośłania, ułożył się do snu.

Ale sen nie przychodził. Okropny ból głowy i wznawiająca się ku wieczorowi gorączka odebrała mu sen i siły. Był tak słaby, że zaledwie zdołał położyć się twarzą ku skale i oczekiwać śmierci.

W tej ostatniej jednak, jak mu się zdawało, chwili, Robinson miał na tyle jeszcze świadomości, że myślą podziękował Bogu za wszystkie dobrodziejstwa, pożegnał



wspomnieniem swych ukochanych rodziców i ułożył się pogodzony z wyrokami niebios, aby życie na tej wyspie bezludnej zakończyć.

Nie cierpiał już wcale. Gorączka odebrała przytomność. Błady śmiertelnie, z rękami założonemi na piersiach, leżał cichy, bez ruchu na swem łożu z traw i zdawał się już być umarłym.

---



## CZEŚĆ III.

### ROZDZIAŁ I.

**Wyzdrowienie — Utrata ognia — Rozpacz — Odkrycie drzew kakaowych i chlebowych — Zamiar [zbudowania okrętu — Ślad stopy ludzkiej — Przerażenie.**

Nadszedł ranek, dzień na dobre się rozpoczął, a Robinson leżał wciąż nieruchomy i zdawał się nie żyć.

Lamy leżące tuż przy stogu siana, co mogły wyskubać z głodu, już wyjadły. Jedna z nich, zdziwiona grobowym milczeniem, jak również tem, że pan ich nie pamięta o pokarmie dla nich i wodzie, jakto było jego zwyczajem, podniosła się i zbliżywszy się do Robinsona zaczęła mu lizać ręce, inne zwierzątka poszły też za jej przykładem. Na skutek



tego Robinson drgnął i życie zdawało się doń wracać. Otworzył oczy, rozejrzył się wokoło, jakby chcąc się przekonać gdzie jest.

Głęboki sen wrócił mu przytomność, omdlenie minęło, tylko czuł się zupełnie bez sił i bez możności wstania.

Ugasiwszy pragnienie cytryną, usnął znowu. Obudziwszy się pod wieczór, uczuł się zupełnie zdrowym. Poczciwe lamy przyglądały mu się uważnie, jakby zapytując go, dlaczego tak wciąż leży i o nich zapomina. Robinson napił się mleka i wzmocniony tym ożywym napojem, zasnął znowu. Rano uczuł głód, ale jednocześnie miał już dość siły aby wstać i wyjść z grotty.

Napoiwszy swe lamy, które na szczęście, tak jak i wielbłądy mogą żyć dłuższy czas bez wody, wziął z sobą kawał wędzonego mięsa, zapił wodą źródlaną i uczuł się o wiele silniejszym.

O, jakżeż się cieszył Robinson każdym promykiem słońca, którego nie spodziewał się już ujrzeć, każdym kwiatkiem i trawką,

Świat zdał się mu stokroć piękniejszym i droższym dla niego, jak przed chorobą, poznał wartość życia, na które nieraz wyrze-



kał i postanowił nie szemrać nigdy i z wola-  
Bożą się godzić.

Po paru godzinach stan zdrowia Robin-  
sona poprawił się o tyle, że mógł wziąć się  
do roboty i obejrzeć swe gospodarstwo. Zbli-  
żywszy się do ogniska, wydał okrzyk rozpa-  
czy. Ani jednej, jedynej iskierki, nic nie po-  
zostało z tak mozolnie utrzymywanego stosu!

Zrozpaczony myślał o tem, że teraz wła-  
śnie, gdy tak jest wycieńczony, nie będzie  
miał gorącego pożywienia i tylko zimnem  
mlekiem i owocami żywić się będzie zmu-  
szony.

Mając nieźle już sfabrykowane naczynia,  
postanowił zrobić użytek z mleka lamy i zro-  
bić masło.

Ubił w jednym z naczyń, ale wnet zrozu-  
miał, że i ten produkt bez ognia nie zda się  
na nic.

Bo i z czemże jeść będzie to wyborne  
maselko?

Ogień zagasł, na czemże ugotuje karto-  
fle, które mu zastępowały pieczywo!

Zjadł je w końcu z kawałkiem wędzone-  
go mięsa, ale smaku w tem nie było żad-  
nego.



jakżeż ciężkiem wydało mu się teraz życie bez ognia! Biedny Robinson pocieszał się tylko nadzieją i towarzystwem lam, które przywiązały się do niego bardzo i nie chciały go opuszczać ani na chwilę.

Znienawidziwszy lenistwo, które stało się powodem jego rozstania się z rodzicami i doprowadziło go do tak oplakanego stanu, Robinson ani chwili nie chciał próżnować.

Nie mając obecnie niczego ważniejszego do roboty, postanowił zbudować statek, marząc o tem, że kiedyś może przyjechać ktoś, z kim powróci razem do ukochanej Marsylji.

Podtrzymywany tą nadzieją, wziął Robinson swoją siekierę kamienną i wyruszył do lasu po drzewo.

Rozglądając się wokoło spostrzegł dziwnie wysokie kłosa napelnione dużemi żółtymi ziarnami. Przekonał się, że to była kukurydza, która mogła mu służyć i do jedzenia na surowo i na mąkę. Nabral jej dużo, utrwalając w pamięci miejsce, gdzie się znajdowała w bardzo dużej ilości.

Dalej trochę spostrzegł szerokie, średniej wielkości drzewo, na którym wisiały oryginalne owoce. Były to strąki zawierające z sześćdziesiąt ziarn, kształtu fasoli.



Spróbował, uznał je za gorzkie, ale jednocześnie zrozumiał, że z tego owocu może mieć korzyści i zapamiętał, gdzie rośnie owo drzewko. Było to drzewo kakaowe, z którego wyrabiać zaczęto czekoladę; w czasach tych, kiedy żył Robinson nie znano jeszcze tej rośliny, a więc i czekolady.

Trzecim odkryciem było zauważenie dużego drzewa o owocach wielkości i kształtu kokosowego orzecha. Spróbował owocu, Robinson uznał go za smaczny, a co najważniejsze, za bardzo przypominający chleb, którego tak łaknął.

Nagle przyszła mu do głowy myśl pewna. Czyby z tego właśnie drzewa nie zbudować statku?..

Drzewo było olbrzymie i bardzo stare, z jednej strony nawet spróchniałe, zdaloby się na budowę napewno. Ale szkoda wybornych owoców, które służyłyby mu mogły za chleb. Było to tak zwane drzewo chlebowe, o którym czytał niegdyś Robinson w opisach podróży, drzewo miało bardzo wielkiej objętości pień, a że było stare, łatwo pewnie uda się je zrywać. Myśl ta zajęła go całkowicie, ale postanowił jeszcze nad tem pomyśleć, co lepsze, czy owoce czy drzewo.



Na drugi dzień przyszedł ze stanowczym zamiarem zrabania drzewa, przyniósł swoją kamienną siekierę i zdawało się, że zrabie je zaraz. Trafił jednak na niespodziany opór. Drzewo było bardzo twarde a siekiera za tępa. Rąbał Robinson i rąbał, i dopiero po kilku godzinach pracy zarysowały się na drzewie uderzenia siekiery.

Minęło parę tygodni zanim Robinson zdołał przerąbać drzewo do połowy.

Pewnego dnia, znużony nad miarę postanowił wybrać się dla rozrywki w okolice swego zamieszkania. Trzy lata już tutaj przebywał, a nie znał jeszcze całej wyspy. Obliczył, patrząc z wysokiej góry naokoło, że cała wyspa ma jakieś dziesięć mil w obwodzie i że kilka dni starczy na jej okrążenie i zwiedzenie. Uwiązał więc na grzbiecie lamy koszyki z jedzeniem i wyruszył wczesnym rankiem, pełen nadziei, że może odkryje coś nowego i pożytecznego.

Idąc spostrzegł mnóstwo drzew obciążonych przepyszными owocami i uspokajał się tem, że nie zamrze tu z głodu, jednocześnie zauważył, że droga, którą szedł była o wiele bogatsza w roślinność i owoce od miejsco-



wości, którą przeznaczył na przebywanie stale po rozbiciu się okrętu.

Przeszedłszy trzy mile, czuł się zmęczonym, wreszcie i noc go zaskoczyła, wdrapał się więc na drzewo i usnął. Lama ułożyła się pod drzewem.

Nazajutrz, po przebudzeniu, trafił idąc na grunt piaszczysty, i nagle o, Boże! cóż zobaczył?...

Przed nim, na piasku najwyraźniej zarysował się ślad ludzkiej stopy...

Robinson zbladł, nogi się pod nim ugięły, blizki był zemdlenia.

Spokój jego, radość z odkrycia różnych pożytecznych drzew i owoców, pierzchła natychmiast.

Zrozumiał, że na wyspie tej są dzicy ludzie, że wynajdą go, zamordują, a może i zjedzą. Cały drżący przyglądał się stopie odciśniętej na piasku i ani na chwilę nie wątpił, że to ślad ludzkiej stopy.

Odszedł dalej, ale widok, jaki, mu się przedstawił był tak przerażający, że ruszyć się z miejsca nie był w możności.

Na środku polanki, paliło się ognisko, obok którego leżały porozrzucane części cia-



ła ludzkiego, nogi, ręce, piszczele i kości ogryzione przez dzikich ludożerców.

Zrozumiał Robinson, że powinien stąd jaknajdalej uciekać, ale pędząc co sił nie był pewnym, czy nie natrafi na dzikich. Nie znał dobrze wyspy i mógł zamiast iść w stronę swej groty, kierować się ku ludożercom.

Szedł więc wciąż brzegiem morza i natrafił na łąkę, odległą jeszcze bardzo od groty, ale stanowczo do niej, nie gdzieindziej prowadzącą.

Odпочzawszy trochę, naraz z ogromnem przerażeniem posłyszał wymówione nad głową zdanie: Robinsonie, ach! biedny Robinsonie!

Zdziwiony i przestraszony oglądał się około, nie dorozumiewając się kto mówił. Wtem spostrzegł swą papugę, której sprzykrzyło się siedzieć samej i przyleciała szukać Robinsona na łące, na której nieraz Robinson kosił trawę dla lamy.

Wyuczyła się tego zdania od niego samego, często bowiem powtarzał to w smutku i zniechęceniu. Usadowiła się teraz na ramieniu Robinsona i wciąż powtarzała to jedno, jakby pocieszając go i nad nim się litując.



Noc zapadła. Robinson usnął na drzewie, ale sen miał wciąż niespokojny i krótki. Rozmyślał nad tem, żeby zniszczyć całą swoją zagrodę, ślad swego istnienia zatrzeć zupełnie i kryć się w jakiejś grocie, żywiąc się owocami i wodą.

W ten sposób — pomyślał Robinson — będę bezpieczniejszy i może dzicy ludzie nie odkryją mojej tu obecności.

## ROZDZIAŁ II.

### **Zabezpieczenie się od dzikich — Uczty ludożerców — Ucieczka jednego z jeńców — Robinson wybawca.**

Mysząc o tem, usnął nad ranem, a gdy się przebudził, czuł się pokrzepionym na duchu i wszelkie obawy i postanowienia zniszczenia swego dobytku zdały mu się nierozsądne i śmieszne.

Skierował się ku swemu domowi, ciesząc się, że ta część wyspy, którą zajął, nie jest tak obfitująca w owoce i roślinność, gdyż z tego właśnie powodu nie wylądowywali tam dzicy, wyszukując urodzajniejszej i suchszej dla uczt swych ziemi.



Postanowił wróciwszy do domu, wzmocnić swą grootę, podkopując podziemne przejście, aby w razie najścia dzikich módz skryć się na czas pewien.

Rozpoczął tę mozolną pracę, ulepszając coraz bardziej swój pomysł i doszedł do tego, że pobudował podziemia, w których mógł skryć się w razie potrzeby z lamą i zapasami żywności.

Przetrwało tak lat kilka bez nowego najścia ludożerców, gdy naraz pewnego dnia zauważył dym unoszący się ponad drzewami, a gdy wszedł na wierzchołek, z przerażeniem ujrzał straszne i niezapomniane widowisko.

Pięć łodzi przytwierdzonych do brzegu a niedaleko od morza koło wielkiego ogniska wielka liczba dzikich tańczyła, wydając okropne krzyki.

Oddaleni byli oś Robinsona o jakieś tysiąc kroków, niebezpieczeństwo więc było ogromne. Robinson wyruszył czempędzej z powrotem do swej groty aby być gotowym w razie napadu do obrony, a zobaczywszy, że wszystko w należyтым porządku, wrócił na swe obserwacyjne miejsce i ze zgrozą przyglądał się mordercom. Powoli ogień zagaśał, dzicy przestali tańczyć i wydawać



okrzyki, garstka zaś okrutników skierowała się ku łodziom, jakby na poszukiwanie czegoś.

W chwilę potem Robinson ujrzał tychże dzikich wlokących za sobą ludzi. Byli to nieszczęśliwi przeznaczeni na zamordowanie i zjedzenie przez ludożerców.

Robinson zaledwie zdołał powstrzymać okrzyk grozy i litości, tak strasznie przejęło go to widowisko.

Dzicy rzucili się na jednego z jeńców, udusili go i wśród okrzyków radości szarpać poczęli zmarłego, przygotowując go na ucztę.

Czekający na podobną śmierć drugi z jeńców, widząc, że wrogowie jego nie zwracają na niego uwagi, rzucił się do ucieczki.

Pędząc jak strzała kierował się wprost ku siedzibie Robinsona, który przerażony tem stał opodal, wiedząc dobrze, że w ten sposób odkrytą będzie jego grota a on zamordowany.

Postanowił jednak, że względu na to, że szło tu o ludzką istotę, ratować nieszczęśliwego i od dzikich się bronić.

Jeniec pędził co siły, ale ludożercy zauważyli wkrótce jego ucieczkę i wysłali dwóch z pomiędzy siebie aby go złapali i do ogniska przewiedli.



Dwóch dzikich nie mogło go dogonić, więc biegł wprost na Robinsona, a zobaczywszy go, okrytego skórami od stóp do głów, sądził, że to jakiś bożek leśny, który, być



może, weźmie go w obronę i dzikich barbarzyńców od niego odstraszy.

Robinson widząc zbliżających się ludożerców, postanowił bronić się do ostatka.



Rzucił się na jednego z nich i uderzeniem siekiery powalił go na ziemię. Drugiego spotkało toż samo, gdy napinał luk, aby puścić strzałę na Robinsona.

Uspokoiwszy się co do tego, że ci dwaj nie wydadzą go napewno, wrócił przed grotę, gdzie wyratowany przez niego jeniec rzucił mu się do nóg i całując je szeptał w nieznanym Robinsonowi języku wyrazy dziękczynienia i wdzięczności.

Aby zatrzeć ślady walki, które mogłyby uczujących dzikich doprowadzić do mieszkania Robinsona, jeniec zakopał ciała ludożerców i znów z wielkiej radości zaczął tańczyć i dziękować swemu wybawcy za ratunek.

Ponieważ dzicy nie odjeżdżali jeszcze na swych łodziach, oczekując powrotu dwóch wysłanych za jeńcem, Robinson dał luk ze strzałami swemu gościowi przygodnemu, sam uzbroił się również, oczekując najścia dzikich.

Jeniec oswobodzony przez Robinsona, ukląkł w krzakach i z wymierzonym ku ognisku łukiem oczekiwał nieprzyjaciela.

Lada chwila mogła cała ta dzika gromada znaleźć się w siedzibie Robinsona. Z za-



partym oddechem oczekiwali tej chwili, będąc wciąż gotowi do obrony.

Naraz rozległ się krzyk jeden i drugi, potem bieg szybki ku brzegom i cisza.

Dzicy nie doczekawszy się jeńca i dwóch wysłańców, spożywszy swą ohydną ucztę, wsiedli do łodzi i odjechali.

Zobaczywszy to Robinson zaprowadził swego gościa do grotty, aby go pożywić, poczem przezwiał go Piętaszkiem, od Piątku, w którym się ta cała przygoda zdarzyła i kazał mu nanieść mchu i trawy do piwnicy i do snu się ułożyć.

Obawiał się zdrady ze strony dzikiego i z tego powodu nie wziął go ze sobą na noc do grotty.

Przed położeniem się do snu, Robinson schował pod posłanie łuk, strzały i siekiere, aby móżdż się w razie potrzeby czem bronić.

### ROZDZIAŁ III.

**Jeniec okazuje się użytecznym — Rozniecenie ognia, przez tegoż — Pierwszy rosół ugotowany z lamy.**

Nazajutrz, po długim śnie, spowodowanym okropnymi przejściami dnia poprzed-



niego, obudził się Robinson z myślą, że Piętaszek napewno zeszedł do podziemi, zabrał broń i uciekł, aby na niego naprowadzić wrogów.

Omylił się bardzo. Gdy wszedł do piwnicy zobaczył swego gościa uśmiechającego się ze stogu siana, w którym się ułożył.

Po wydojeniu lamy i napiciu się mleka, wyruszył Robinson wraz z Piętaszkiem na miejsce ohydnej uczty dzikich.

Piętaszek gestami pełnemi prośby, pokazując na wzgórze usypane nad dwoma ściągającymi go wczoraj ludożercami, zapytywał Robinsona, czyby nie można ich wykopać i zjeść na obiad.

Ale Robinson z takim obrzydzeniem i wstrętem odpowiedział mu na tę prośbę, że Piętaszek zawstydzony spuścił głowę, nie rozumiejąc jednak, dlaczego by nie można było wyprawić sobie uczty zwycięskiej z ciał dwóch niegodziwych wrogów.

Przybywszy na miejsce wczorajszych zabaw i tańców dzikich, Robinson stanął przeżony. Szczątki ludzkie leżały w popiele, kości porzucane koło zagaszonego ogniska bielily się wśród poopalaných traw...



Blady, z grozą na twarzy, ruchami wymownymi wskazywał Piętaszkowi, że trzeba pogrzebać te resztki ludzkie.

Nachyleni w ciszy głębokiej nad tem ogniskiem śmierci, popodnosili z ziemi kawałki okrwawionych jeszcze szczątków ludzkich i poukładali je w dole przez Robinsona wykopanym, aby, zwyczajem chrześcijańskim spoczęły w ziemi.

Duże łzy spływały z oczu pocziwego Piętaszka, gdy grzebał resztki cielesne swego towarzysza. Może kochał go bardzo, a może płacząc myślał o losie, jaki go miał wczoraj spotkać...

Robinson patrzył z radością na ten objaw dobrego serca u Piętaszka, a przyglądając się popiołom, rozgrzebywał je, mając nadzieję, że znajdzie jaką małą iskierkę, która mu ogień roznieci.

Westchnął ciężko, widząc, że palenisko wygasło i zabierał się ku odejściu.

Piętaszek, obserwując każdy ruch Robinsona, zrozumiał o co mu chodziło. Wydawszy okrzyk radości, porwał siekierę i rzucił się ku stojącemu opodal drzewu.



Robinson, zawsze jeszcze obawiający się zdrady, złapał dzidę i rzucił się za Piętaszkiem.

— Chce mnie zdradzić! — wyszeptał — wraca do dzikich i naprowadzi na mnie, aby zamordować.

Ale zanim dobiegł do lasku, ujrzał Piętaszka pędzącego naprzeciwko niemu z radosnymi okrzykami i z pękiem trawy palącej się płomieniem.

Robinson patrzył na to zdziwiony, a gdy Piętaszek, rzuciwszy tłącą trawę na ziemię, dorzucił drzewa i płomień wybuchł radośnie, rzucił się na szyję chłopca i całował go i ścisnął tak silnie, że Piętaszek, nie przyzwyczajony do podobnych oznak wdzięczności, nie mógł pojąć cobyto znaczyło.

Radość wyryta na twarzy Robinsona udzieliła się i Piętaszkowi. Szczęśliwy był ogromnie, że panu swemu i wybawcy zrobił tę nieocenioną przysługę.

Robinson zaintrygowany zdobyciem ognia przez chłopca, zapytał go gestami w jaki sposób doszedł do otrzymania ognia.

Piętaszek wytłomaczył mu, że urąbał ka-



walek drzewa bardzo twardego i kawałek najmniejszego z drzew rosnących na wyspie i że jeden o drugi pocierał, z czego wydobyły się iskry. Iskry rzucone na suchą trawę wywołały ogień.

Wróciwszy do grotty, Robinson czempędzej rozniecił ogień w swej kuchni, potem zarznął jedną z młodych lam ze swego zwiększonego już stadka i wyrznawsy najlepszy kawałek kazał Piętaszkowi obracać na różnie aż do upieczenia.

Mając już na czem ugotować, Robinson postanowił spróbować rosółu, którego od czasu rozbicia się okrętu nie jadał.

Włożył więc kawałek lamy do garnka, zalał wodą, dołożył włoszczyzn, kartofli, garść soli i postawił na ogniu.

Piętaszek przyglądał się wszystkiemu z ogromnem zdziwieniem. Nie widział nic podobnego. Był pewnym, że gotuje się jakiś czarodziejski napój i gdy mu Robinson nalał do miski, aby spożył, pił go z namaszczaniem, rozmyślając nad tem, jaka zmiana w nim zajdzie po wypiciu tego napoju.

Mięso lamy smakowało mu bardzo i przestał już myśleć o spożywaniu ludzi; wstręt,



jaki okazał jego wybawca na prośbę jego aby wykopać i zjeść zabitych wrogów, pozostał mu w pamięci na zawsze, a smaczne potrawy Robinsona kazały mu zapomnieć o dawnem obrzydliwym pożywieniu.

---



## CZĘŚĆ IV.

### ROZDZIAŁ I.

**Szczęście Robinsona z powodu towarzystwa Piętaszka. — Ufortyfikowanie grotty. — Utkanie nowej odzieży. — Nawracanie Piętaszka. — Tęsknota obu rozbitków za ojczyzną. — Budowa łodzi. — Deszcze zimowe na wyspie.**

Robinson był teraz zupełnie na swej wyspie szczęśliwy. Brakowało mu dawniej towarzystwa, teraz miał je wciąż i to takie miłe i dlań życzliwe.

Piętaszek kochał bardzo Robinsona. Był to chłopak bardzo roztropny i wdzięczny, każda rzecz go cieszyła, każde dobre słowo napełniało go wielką wdzięcznością.

Cóż to była za radość, gdy Robinson, widząc, że mu może w zupełności zaufać, po-



zwoił posłać do snu Piętaszkowi w grocie, tuż obok swego posłania. Tańczył, skakał jak dziecko z radości i w przeróżny sposób okazywał swe zadowolenie.

Gdy nastaly tygodnie deszczowe, Robinsonowi nie wydawały się już tak długimi, jak lat poprzednich. Miał teraz towarzysza, z którym mógł rozmawiać i pracować, który ciemne i chłodne dni rozjaśniał mu swem przywiązaniem i rozmową. Piętaszek bowiem nauczył się już dobrze mówić, w języku Robinsona, rozumiał co mu tenże opowiadał i nieźle już wypełniał jego polecenia.

W dni te pochmurne i smutne, siadali przy lampce w swojej grocie i pletli koszyki, tkali tkaninę na ubranie i rozmawiali.

Robinson podziwiał rozsądek Piętaszka i z przyjemnością z nim obcował.

Razu jednego, gdy deszcze już padać ustały i niebo rozjaśniło się trochę, Piętaszek, wskazał na widniejący zdala czarny punkcik, z rozrzewnieniem wołając do Robinsona, że to jego ukochana ojczyzna.

Przykro było Robinsonowi widzieć jego radość, gdy opowiadał o swym starym ojcu i kraju rodzinnym, na pytanie jednak, czy wróciłby do domu, Piętaszek odpowie-



dział bez namysłu, że pojechałby tylko zobaczyć rodzinę, ale natychmiast powróciłby do Robinsona z powrotem.

Robinson, coraz bardziej przeświadczony o wierności swego współtowarzysza, przywiązywał się coraz silniej i z rozpaczą myślał o możliwym kiedyś rozstaniu.

Przebyli tak czas jakiś ze sobą, obaj zadowoleni ze siebie i prześcigający się w sprawianiu sobie przyjemności, gdy razu pewnego Robinsonowi przyszła myśl, aby biednemu dzikiemu, nie mającemu pojęcia o Bogu prawdziwym wyłożyć artykuły wiary chrześcijańskiej i skłonić go do uznania tej nauki za zbawienną.

Pewnego więc wieczora, gdy po całodziennej pracy i po ugotowaniu kolacji, zasiedli na matach aby wypocząć i porozmawiać, Robinson zaczął pytać Piętaszka w co wierzy i do kogo się modli.

Na pytanie to nie zaraz odpowiedział. Zastanawiał się nad znaczeniem słów Robinsona i dopiero gdy ten ponownie zapytał, kto świat stworzył i nim się opiekuje, kto zawiesił nad ziemią cudny błękit nieba i utkał go gwiazdami, kto dał ludziom mo-



rze, rośliny i zwierzęta, kto wreszcie stworzył człowieka — odpowiedział Piętaszek:

Wiem, panie, uczył nas tego jeden poważny i najmędrzy z naszego plemienia, że to wszystko stworzył i wszystkim co jest na ziemi opiekuje się Tupan.

— Cóż to za istota ten Tupan? Przyszam się tobie, że go nie znam i o nim nie słyszałem — odpowiedział mu Robinson.

Jako? — zdziwił się Piętaszek — wszak przed nim klękasz i modlisz się jak wszyscy ludzie na świecie. Nieprawdaż?

— Bynajmniej, nie znam tego Tupana, któż to taki?

— To człowiek najstarszy, który jest wciąż od wieków i który wie, widzi i słyszy wszystko, nawet myśli nasze przenika. Mnie i ciebie on stworzył. Od niego mamy wszystko, co nas otacza i on zsyła na nas grzmoty, pioruny i błyskawice..

— Gdzież jest ów Tupan?

— Ma pałac olbrzymi na wysokiej górze, cały lśni się od złota i drogich kamieni...

— Któż go widział?

— Nasi kapłani chodzą do niego i rozmawiają... Potem przynoszą nam od niego rozmaite przestrogi i polecenia.



Po śmierci idziemy do niego wszyscy...

— Musi to być wspaniały pałac!..

— O, tak! — odpowiedział Piętaszek z zachwytem — bardzo piękny, a idzie do niego ten, kto dużo wrogów zamordował i dużo zjadł ludzi — dodał znizonym głosem i jakby się wstydząc tego co mówił.

— A więc ty, drogi Piętaszku, nie pójdziesz do tego wspaniałego pałacu i nie zamieszkasz go z Tupanem, bo odkąd jesteś u mnie, nie jadłeś ludzi... Ale zato pójdziesz do Boga mojego, do którego i ja pójdę po śmierci.

Nauczę cię teraz do kogo masz się modlić i przed kim klękać, słuchaj tylko uważnie, Piętaszku.

I zaczął mu tłumaczyć, jak zupełnie innym i miłość nawet dla nieprzyjaciół zalecającym jest Bóg chrześcijański, który świat i wszystko co jest na nim stworzył... Jak wysłuchuje tych, którzy się doń modlą.

— Ach! ciebie tylko, ciebie wielki Boże, uznaję za swego pana i władcę i ojca mego dobrego — mówił ze łzami Piętaszek — W ciebie tylko wierzę i wierzyć będę, nie w Tupana...



Taką była pierwsza modlitwa do prawdziwego Boga, przez nowonawróconego wypowiedziana.

Po nawróceniu dzikiego, Robinson zaczął myśleć coraz bardziej nad tem, aby móżdż wraz z Piętaszkiem wrócić do swej ukochanej ojczyzny.

Aby cel swój osiągnąć trzeba było zbudować statek lub chociażby dużą i mocną łódź.

Powiedział o tem swemu towarzyszowi, który jak zwykle, uradowany z wszystkiego, co mu polecił Robinson, zabrał się do budowy ze skwapliwością. Nie zagrażały już tej robotcie deszcze ani ślota, gdyż wypadaly się, jak corocznie przez sześć tygodni i nie miało być niepogody, jak aż za rok od tej pory, Piętaszek więc wybrał się z Robinsonem po twarde i mocne drzewo, z którego możnaby było zrobić statek.

Wynalazłszy drzewo o pniu grubym i twardym, Piętaszek nie rąbał bezowocnie, jak Robinson, lecz rozniecił ognisko, zwalił drzewo, a potem wypalił wewnątrz. Robił to tak zręcznie i prędko, że w przeciągu dwóch miesięcy stali się właścicielami prawie zupełnie wykończonej łodzi.



## ROZDZIAŁ II.

**Próba z łodzią. — Wpadnięcie z łodzią w wir morski. — Przestrasch i zwątpienie Piętaszka. — Ufnosć Robinsona. — Ocalenie i powrót na pożegnaną już wyspę. — Pobyt dalszy na niej. — Projekt wyruszenia do krainy Piętaszka po jego ojca. — Burza i huk kuli armatniej. — Oderwanie się łodzi od brzegu. — Rozpacz Piętaszka.**

Po ukończeniu budowy łodzi, Robinson wyciosał dwa wiosła i szczęśliwi niezmiernie wyruszyć postanowili na morze. Zabrawszy ze sobą odzież, zapasy żywności, papugę, która nie chciała zejść z ramienia Robinsona i pożegnawszy ze łzami tulące się do nich lamy, wsiedli do uwiązanej u brzegu łodzi, żegnając ustronie, w którym Robinson przebył już całe dziewięć lat i do którego bardzo się przywiązał.

Droga z początku pomyślna naraz zmieniła się w przerażające wirowanie wokół fal morskich. Nie w stanie był, ani Robinson ani Piętaszek przemóc siły żywiołu.



Straszliwy wir porwał w swą moc nikle, kruche czołno z Robinsonem i jego towarzyszem i rzucał nimi jak łupiną orzecha, napełniając serca bezmiernym strachem o życie.

Porzucili wiosła, bo nie w stanie byli cofnąć łodzi miotanej przez morskie odmęty i czekali śmierci.

— Panie! — wołał wrozpaczy Piętaszek — rzućmy się do morza, zginiemy od razu... Nie pomoże już nic!

— Nie można — odrzekł Robinson — nasz Bóg nie pozwala na odbieranie sobie życia. Ufajmy Bogu, on nas napewno nie opuści. Tyle razy znajdowałem się w niebezpieczeństwie i zawsze mnie z niego wyratował — wyratuje i teraz... Dalej! zabierajmy się do roboty! Prędszej! prędszej za wiosła!

Piętaszek podniecony słowami Robinsona, zaczął z całej siły wiosłować, Robinson ze zdwojoną energją zabrał się też do wycofania łodzi z niebezpiecznego wiru i dzięki mozolnej pracy, łódź zaczęła się cofać i wkrótce wypłynęła na ciche fale.

Jakżeż cieszył się Piętaszek, jak dziękował swemu nowemu Bogu za ocalenie!



— Piętaszku, — zapytał Robinson — gdy minęło już niebezpieczeństwo, czy trafiłbyś do kraju z którego przyszedłeś?

— O, naturalnie! zawołał z żywością -- Oto ten czarny punkcik, to kraina mego kochanego ojca i moja...

— Jedźmy więc — rzekł Robinson — morze ciche, dopłyniemy szczęśliwie...

Piętaszek wdzięczny był bardzo i dziękował Robinsonowi za to szczęście.

Im bliżej jednak byli czarnego punktu, tem bardziej rozczarowywał się Piętaszek co do pewności, że to jego ojczyzna jest owym punkcikiem.

Gdy już niewielka przestrzeń dzieliła naszych podróżnych od miejsca, do którego dążyli, przekonali się naocznie, że była to ich wyspa, a czarnym wznoszącym się punktem była wulkaniczna góra, która niegdyś tyle strachu narobiła Robinsonowi.

Wysiedli przy brzegu morza i usadowiwszy się na piasku, zjedli trochę z zapasów, poczem przywiązawszy łódź wrócili do swej pożegnanej już groty.

Jakżeż miłą i zaciszną zdała się Piętaszkowi wyspa, którą z tak lekkim sercem opuszczał!



Zaprzysięgał się, że nigdy stąd się nie ruszy, że siedzieć będzie spokojnie ze swym ukochanym panem, chyba że kiedyś, kiedyś zawinie u brzegu wyspy statek i zabierze ich do ojczyzny...

Robinson myślał inaczej. Jego tęsknota za rodzinnym krajem i opuszczonymi rodzinami była tak wielką, że nie zważał na żadne trudności, a i zapomniał zupełnie o niedawno przebytem niebezpieczeństwie.

Razu pewnego, gdy usiedli na miękkim posłaniu w grocie, aby przed usnięciem porozmawiać trochę i o domu rodzinnym przypomnieć, spytał Robinson swego towarzysza coby na to powiedział, gdyby tak postanowić sobie wybrać się po jego ojca, pobyc kilka tygodni w jego kraju i znów na wyspę powrócić.

Piętaszek zapomniał o wirze morskim i o przestkach, jakiego wtedy doznał, a rzucając się do całowania rąk Robinsona, cieszył się i okrzyki radości wydawał.

— Ach! ach! — wołał uradowany — zobaczę mego starego ojca, mego dobrego kochanego ojca! Jakież to szczęście!..



Robinson wysłuchawszy jego okrzyków na swą cześć i podziękowań, przedstawił Piętaszkowi, że, jak tylko urządzi ogród, zasadzą ziemniaki, kukurydzę i inne zdatne do jedzenia warzywa, wtedy wyruszą do je-



go ojca i zatrzymają się czas jakiś w jego ojczyźnie.

Zabrano się więc z gorliwością do sadzenia jarzyn, przeplantowano kakao, które zdało się bardzo na napój. Robinson bowiem zmiął ziarna kakao, ugotował z mlekiem la-



my i w ten sposób nie wiedząc o tem, że czasem napój ten będzie w użyciu, wynalazł coś odpowiedniego na śniadanie. Brakowało wprawdzie do tego cukru, ale i bez osłodzenia było to tak smaczne, że Piętaszek prosił, żeby napój ten codziennie przyrządzać, na co nie zgodził się Robinson, tłumacząc, że wciąż jedno może się uprzykrzyć, a wszak mają i orzechy kokosowe i ziemniaki i mięso lamy i masło, sery i drzewo chlebowe, z którego wspaniałe owoce służą im za chleb do zupy lub mięsa.

— Mój pan ma zawsze słuszość — odpowiedział Piętaszek — jesteśmy bardzo szczęśliwi i mamy dosyć innego jedzenia...

Po urządzeniu ogrodu z warzywami i cienistemi alejami do spaceru, Robinson oznajmił swemu towarzyszowi, iż na drugi dzień rano, wyruszają do jego ojczyzny.

Uszczęśliwiony Piętaszek przygotował wszystko co było potrzebne do drogi, a więc dużo pożywienia, trochę odzieży, zrobił nowe wiosła i oczekując ranka, długo w nocy nie mógł usnąć.

Zaledwie pierwszy sen skleił ich powieki kiedy straszliwa burza zerwała ich na nogi. Ogłuszające grzmoty, padające pioruny,



następowały jedne po drugich, napelniając serca mieszkańców groty przestraszonym.

— Cóż za szczęście! — odezwał się Robinson — że teraz podczas tej okropnej burzy jesteśmy w grocie nie zaś na morzu. Coby to się z nami stało?..

Naraz dał się słyszeć krótki urwany huk z oddali. Robinson zdziwiony i wzruszony zarazem, zawołał:

— Wielki Boże! to huk armatni... Ktoś wzywa pomocy... Biegnijmy na dach groty, rozpalmy ognisko, aby dać znać, że jest tu ktoś i że gotów przyjąć zapędzonych burzą do swego schroniska!

Tejże chwili wybiegł Robinson z Piętaszkiem, ale o rozpaleniu ognia nie mogło być nawet mowy. Deszcz był tak ulewny, że ani myśleć o utrzymaniu płomieni...

Zrozpaczony Robinson z niecierpliwością oczekiwał ranka, aby móżdż dojrzeć okręt, który wzywał pomocy i aby dać znać, że na wyspie są ludzie pragnący powrotu do ojczyzny.

Rankiem, gdy burza ustała i słońce ozłociło wyspę, Piętaszek poszedł nad morze i cóż ujrzał?



Jego pracy mozolnej, jego nadziei calej nie było!

Łódź oderwała się od brzegu i gdzieś tam mile cale uniesiona została przez fale...

Biedny Piętaszek szalał z rozpaczny. Krzyczał, rwał włosy, rzucał się na ziemię i zdawał się być niepocieszonym.

— Nie można tak szemrać przeciw wyrokom Boskim — uspokajał go Robinson. Bóg wie co robi. Możeby nas właśnie podczas wycieczki łodzią spotkało jakie nieszczęście... Uspokój się Piętaszku...

I podczas gdy Piętaszek rozważał słowa swego dobrego pana, Robinson przyglądał się morzu, nadaremnie wypatrując okrętu, który dawał napróżno sygnały armatnie.

### ROZDZIAŁ III.

**Odkrycie okrętu przez Robinsona — Odwaga Piętaszka — Dopłynięcie Piętaszka do okrętu — Pierwsze powitanie przez psa — Przerazenie z powodu nieznanego zwierzęcia — Ucieczka — Towarzyszenie psa — Zemdlenie Piętaszka — Rozpacz Robinsona.**

Robinson nie zaprzestał poszukiwań. Nie mógł przypuścić, żeby huk armatni był tyl-



ko odgłosem piorunu. Wszedł więc na górę, skąd rozciągał się widok na morze i spojrzawszy w dal wydał okrzyk pełen radości.

Krzyk ten rozległ się z taką siłą, że przerażony Piętaszek biedz począł ku swemu panu, nie wiedząc, czy ma się cieszyć, czy płakać.

Robinson biegł z taką siłą nad brzeg morza, że zdawał się być oszalały.

— Okręt! okręt! — powtarzał do siebie wzruszony —

— Na okręcie jest ktoś z pewnością, zabierz nas i zawieź do Marsylii!..

Piętaszek biegł co mu sił starczyło, dziwiąc się tak szybkiemu biegowi swego pana.

Po godzinie niezwykle szybkiego biegu przybyli nad brzeg morza, poza którym był okręt bujający się na falach.

— Hallo! Hallo! — wołał Robinson — wtórował mu w tem Piętaszek, ale nikt nie ukazywał mu się na pokładzie...

— Niema więc tam nikogo! — wyszeptał zawiedziony — ale trzebaby się tam dostać...

W jaki sposób?..

Piętaszek obserwował ze zdziwieniem Robinsona. Przed chwilą tak wesoly, teraz był niespokojny i zmartwiony.



Coby mu się stało?

Robinson, jakby odczuwając zaciekawienie Piętaszka, zwrócił się do niego ze smutkiem:

— Nie mamy łodzi, w jakiz sposób dostaniemy się do okrętu?... A moglibyśmy powrócić do naszej ojczyzny, ujrzeć jeszcze rodziców, być szczęśliwymi...

Piętaszek zamyslił się na chwilę, poczem, zwróciwszy się ku okrętowi, jakby dla zmiarkowania czy odległość nie jest za duża, zaproponował Robinsonowi swą pomoc. Oto dopłynie do okrętu tam i z powrotem i powie co tam zobaczył.

Robinson wiedział, że Piętaszek jest świetnym pływakiem, z radością przyjął jego propozycję i ucałowawszy go serdecznie stanął nad samym brzegiem, aby obserwować swego towarzysza.

Piętaszek dopłynął szczęśliwie do okrętu. Jego czarnowłosa głowa coraz to ukazywała się oczom Robinsona, uspokajając go co do bezpieczeństwa.

Przypłynawszy na miejsce Piętaszek wdrapał się na pokład; gdy naraz rozległy się czyjeś stapania i nieznanne mu wcale zwi-



rzątko przyskoczyło wydając radosne okrzyki i machając ogonem.

Piętaszek bał się z początku, ale gdy pocziwe zwierzę polizało go po rękę, uspokojony pogłaskał je i wszedł głębiej.

Ledwie próg przestąpił, gdy coś okropnego z rogami i siwą brodą rzuciło się na niego i uderzywszy rogami powaliło go na pokład. Przerażony w najwyższym stopniu Piętaszek pędem rzucił się ku ucieczce.

Płynąc całą siłą do brzegu naraz usłyszał poza sobą plusk kogoś za nim goniącego. Pewny, że to owe straszidło z rogami goni go i po morzu, wydał okrzyk przestrachu i ledwie mógł do brzegu dopłynąć.

Dopłynawszy padł nieprzytomny u stóp stojącego tam Robinsona.

Robinson rzucił się go ratować. Trząśł nim, wołał najczulszemi wyrazami, ale przez długi czas nic to nie pomagało.

Zrozpaczony płakać zaczął i lamentować, gdy naraz Piętaszek otworzył oczy i uśmiechnął się do Robinsona z radością.

Obok nich stał piesek, który go tak przyjaźnie powitał na okręcie i który, bojąc się samotności popłynął za Piętaszkiem.



Piętaszek zapytywany przez Robinsona, co widział na okręcie, oświadczył, że jest tam pan okrętu z rogami i siwą brodą i że ten to pan pchnął go tak silnie, że aż upadł na pokład i ledwie z życiem uciekł.

Robinson uśmieł się z tego serdecznie, tłumacząc mu, że to była koza, zwierzę dające jak i tutejsze lamy mleko i mięso i że niepotrzebnie nabawił się takiego strachu.

— Szkoda, że nie ma tam nikogo z ludzi.. Pewnie wyrzuceni zostali na brzeg morza albo poginęli.

W każdym razie, okręt przyplłynął do brzegu u mojej wyspy, wszystko więc co jest na nim do mnie należy.

Ale jak to wydostać? łodzi naszej niema, co począć? Chyba zbudujemy szybko, zanim przyływ nie zabierze i nie uniesie wszystkiego, tratwę. Zbijemy ją z desek grubych i na niej przywieziemy to, co tam się dla nas pożytecznego może znaleźć.

Dalej Piętaszku, mój wierny przyjacielu, do roboty! Przynieś co do zjedzenia i uczynajmy! Do rana musi być tratwa gotowa!...



#### ROZDZIAŁ IV.

**Budowanie tratwy — Dopłynięcie do okrętu —  
Rozglądanie się w zapasach — Wojownicza ko-  
za nakarmiona — Wybieranie przez Robinsona  
rzeczy najpotrzebniejszych — Przebranie się  
w europejskie suknie — Przestрах Piętaszka  
z powodu strzelania przez Robinsona.**

Noc już zapadła, gdy Piętaszek powrócił z pożywieniem i drzewem na tratwę.

Rozłożono jedzenie, a najgłodniejszym się okazał biedny piesek z okrętu. Rzucił się z ogromną łapczywością na podane sobie kawalki mięsa i nie gryząc polykał. Nieszczęśliwe stworzenie od paru dni już nie jadło.

Rozpoczęto pracę gorączkową prawie już przy blasku księżycy i pracowano bez przerwy. Nad ranem dopiero rzucili się dwaj pracownicy na trawę i snem twardym usnęli.

Świtać zaczęło, jak zerwali się na równe nogi i zabrali się znów do roboty.

Pracowali jeszcze czas jakiś, poczem postanowili spróbować swej tratwy.

Szła wolno, lecz zupełnie bezpiecznie i dlatego odważyli się dopłynąć do okrętu.



Robinson ogromnie wzruszony zbliżał się do budowli, w której byli niegdyś ludzie, za których widokiem tak tęsknił i w której być może znajdują się i teraz w kajucie, może omdlali ze wzruszeń przebytych. Ach! cóżby dał za to, żeby okręt ten okazał się użytecznym, gdyby mógł jeszcze służyć na podróż do Marsylji!

Wszedłszy na pokład ujrzał pustkę głułą i żaden głos nie wydobywał się z wnętrza okrętu.

Piętaszek, bojąc się spotkania z rogiem straszylem, szedł zdala za Robinsonem. Zbliżył się dopiero, gdy postyszał za sobą głos:

— Ach! biedne zwierzę! jakżeż musisz być głodne! Piętaszek poszedł żywo i zobaczył kozę leżącą bez ruchu na podłodze. Zdawało się, że już nie żyje, ale gdy Robinson zszedł do wnętrza okrętu i przyniósł jej wody i pożywienia, podniosła się trochę i posiliwszy się zaczęła spacerować po pokładzie.

Robinson tymczasem zaczął przeszukiwać wszystkie kąty, myśląc czy nie znajdzie czasem jakiegoś znaku, po którymby poznał czyj to jest okręt i skąd przyjeżdża. Znalazł wprawdzie rękopis i książkę, ale w niezna-



nym mu pisane języku, miarkował tylko, że to są hiszpańskie, znał bowiem kilka wyrazów ze słyszenia, a te powtarzały się tu bardzo często.

Zeszedłszy do dolnych schowanek, znalazł wszystko, czego przez długie lata nie jadł i nie widział.

A więc beczki mąki pszennej, konserw, herbaty, kawy, mięsa suszonego, sucharów, chleba, oliwy, wina i t. p. rzeczy. Prócz tego znalazł mnóstwo ubrań, bielizny, obuwia, beczki prochu, broń różnego rodzaju, wreszcie szkatułkę drogich kamieni i worek złota.

To ostatnie postanowił zostawić..

— Co mi po tem? — mówił — Mam i tak bezpotrzebnie bryłę złota w swej grocie... Najpierwsza rzecz odzienie i broń...

Wybrał więc ubranie kapitana z zielonego sukna ze srebrnymi guzikami i galonami, ubrał się w nie, włożył kapelusz do tego stosowny, przywiesił pałasz u boku; na ramię strzelbę nabitą, buty ze stylpami na nogi stanął przed zdziwionym tą przemianą Piętaszkiem.

Wybrawszy dla niego również stosowny ubiór, kazał mu się przebrać za maryna-



rza, ale Piętaszek nie miał pojęcia, jak ma do tego przystąpić.

A więc kurtkę zapiał na plecach, koszulę włożył rękawami na nogi i z innymi częściami ubrania również nie mógł poradzić. Wreszcie przy pomocy Robinsona ustroił się w europejskie ubranie i przejrząwszy się w wodzie, zadowolony był ze swego wyglądu.

Robinson wybrawszy co najpotrzebniejsze i przesunąwszy na tratwę, postanowił wyprawić na okręcie ucztę z zapasów tam tak obficie nagromadzonych.

Wyjął butelkę wina, rozpakował puszkę z homarami, wziął chleb, masło, wędliny i rozkoszował się nie tylko wykwintnym smakiem potraw ale i nakryciem, którego brak odczuwał ogromnie.

Zasłał więc stół serwetą, położył widelce i noże, którymi Piętaszek w żaden sposób nie umiał się posługiwać i zachwycony tem wszystkim zajaśniał z apetytem jak nigdy od czasu rozbicia okrętu.

Po obiedzie postanowił zapoznać Piętaszka z bronią. Wynik tego był bardzo zabawny:



Piętaszek, posłyszawszy huk przeraźliwy, rzucił się na ziemię i leżał tak dotąd, dopóki Robinson nie kazał mu powstać,

Zaznajomiwszy go z prochem i strzelbą i wytłomaczywszy mu, że to nie Tupan bóg, ale proch strzela, wystrzelił po raz drugi.

Poraz drugi Piętaszek upadł twarzą na ziemię i nic go nie zdołało przekonać przez czas jakiś, że to nie pioruny ale wystrzały.

Przez długi jeszcze przeciąg czasu Piętaszek obchodził wokoło Robinsona, bojąc się jego strzelby, potem przywykł o tyle, że sam uczył się z niej strzelać, aby w razie potrzeby umieć się bronić.

## ROZDZIAŁ V.

**Zabranie potrzebnych rzeczy z okrętu — Przewiezienie na wyspę — Powrót do okrętu, zabranie klejnotów — Burza na morzu — Robinson w niebezpieczeństwie — Ocalenie Robinsona przez Piętaszka — Zbudowanie domku, wozu, obsiewanie pola grochem, jęczmieniem i pszenicą.**

Wybrawszy co najpotrzebniejsze, Roberson wraz z Piętaszkiem przewieźli nad brzeg



morza i tak powracali sześciokrotnie, nie mogąc naraz zabrać całego swego bogactwa.

Za powrotem do okrętu, Robinsonowi przyszła myśl do głowy, że nieszlachetnie jest tylko o sobie myśleć.

Postanowił zabrać klejnoty i złoto, spodziewając się że właściciel okrętu może się znaleźć a wtedy wielką to dla niego będzie radością, gdy odzyska cały może swój majątek.

Po sześciu dniach postanowił Robinson wszystko co ułożyli na brzegu morza zabrać na wyspę. Raz tylko jeszcze pojechali tratwą aby przejrzeć, czyby się co jeszcze nie przydało, ale naraz, blisko już brzegu zerwała się szalona burza.

Tratwa pędzona bałwanami rozbila się w drzazgi i Robinson rozdzielony z Piętaszkiem, miotany wichrem i falami na wszystkie strony, rozpaczliwie zaczął wzywać pomocy.

Piętaszek, posłyszawszy wołanie o pomoc swego pana, rzucił się ku niemu i z nadludzką siłą trzymając go przy sobie, dociągnął do brzegu nieprzytomnego.

Ułożył go na mchu i płacząc i lamentując starał się do przytomności przywrócić.



Dopiero po jakimś czasie, który wydał się Piętaszkowi wiekiem, Robinson otworzył oczy i zobaczywszy koło siebie wiernego towarzysza, przypomniał całą przygodę na morzu i z wdzięcznością rzucił się Piętaszkowi na szyję.

Ten ostatni skakał i płakał zarazem z radości. Wziął Robinsona na ręce i ułożył go na puchowych poduszkach, poczem usiadł przy nim i czuwał jak nad dzieckiem.

Jakaż różnica między czasem, kiedy Robinson chorował sam bez niczyjej pomocy i starań, a tym, w którym dłoń ludzka kochająca ocierała mu pot z czoła i troskliwie nad nim czuwano.

Sen ciężki, jaki ogarnął Robinsona, przywrócił mu wkrótce siły i pozwolił w dalszym ciągu zajmować się przerwana przez burzę czynnością.

Nazajutrz przeminęła burza, niebo rozjaśniały dawno promienie słońca, gdy Robinson wyspany i wypoczęty wstał aby zobaczyć co zrobiła burza z okrętem i zacząć przewozić swe skarby w dalszym ciągu na wyspę.

Z okrętu pozostały tylko pływające po falach kawałki drzewa i resztki niezabraných rzeczy.



Robinson dziękował Bogu za to, że zdążył przed burzą wywieźć co najpożyteczniejsze na brzeg morski, że on i Piętaszek nie lenili się po sześć razy wyruszać na tratwie, aby zdobyć różne zapasy żywności, proch i trochę odzieży. Kozę odprowadzono najpierw na wyspę, gdzie zaprzyjaźniła się zaraz z lamami i czuła się bardzo szczęśliwą wśród traw i zieleni, których była na okręcie pozbawiona.

Rzeczy wywiózł Robinson i wyniósł wraz z Piętaszkiem sam, potem zaś resztę przy pomocy lam, które z wielką łatwością dźwigały najcięższe rzeczy i radośnie beczwały zbliżając się do swej zagrody.

Przywiózłszy wszystko na wyspę, Robinson zrozumiał, że pomieścić się to nie da w grocie i w szopie. Naprędce sklecono namiot, resztę zaś postanowiono umieścić w mającym się budować domu. Domek ów stanął wkrótce i napelnił dumą jego budowniczych.

Miał on nawet okienka, gdyż Robinson nie omieszkał zabrać okien z kajuty okrętu. Piętaszek nie widział szkła w swem życiu, to też z podziwem patrzył na przezrocze otwory w budynku, pukał palcem, dotykał, by się



przekonać, czy rzeczywiście cośkolwiek od-  
dziela od wewnątrz.

Po ukończeniu domku, zbudowano for-  
teczkę, postawiono wziętą z okrętu armatę  
i nie bano się już teraz dzikich ludożerców.

Jeden wystrzał armatni przegnałby ich  
napewno, takim strachem bowiem napelnia  
ich huk kuli armatniej, którą uważają za pio-  
run zesłany przez ich bożka Tupana.

Tymczasem nadeszła pora zbiorów. Ro-  
binson po skoszeniu pszenicy, zmiął ją w ma-  
łym młynku od kawy i spróbował upiec chleb.

Chleb był naturalnie twardy, nie tak de-  
likatny, jak znaleziony na okręcie, ale sma-  
kował bardzo i był pożywny.

Z nadejściem deszczów pracował Robin-  
son ze swym przyjacielem przy świetle lamp-  
ki. Nie zabrakło im nigdy roboty, skończyli  
jedną, zaczęli drugą i tak coraz to coś no-  
wego przybywało do ich gospodarstwa.

Powoli nabrali wielkiej wprawy w robo-  
cie, zrobili wóz, do którego zaprzęgali lamy,  
potem z kawałków żelaza zrobili bronę i coś  
w rodzaju pługa, a jak tylko przeminęła po-  
ra deszczowa, rozpoczęli pracę na roli.



Zasiewali zboże, jęczmień, kukurydzę a po upływie pięciu miesięcy zaczęto zbierać dojrzałe już zupełnie zboża i warzywa.

Pozostała jedna jeszcze rzecz do zrobienia: zbudowanie stodoły, w którejby pomieścić było można swe zbiory.

Wystawiono stodołę, ułożono snopy i w miarę potrzeby młócono i mielono w młynku.

Tak płynął czas: mijaly dni upalne, nadchodziły sześciotygodniowe sloty, potem znów ciepło i burze i nigdy pilnym pracownikom nie zbrakło roboty w polu lub przy domu.

Robinson zmeźniał i nabrał siły do pracy, Piętaszek przewyższał go jeszcze zręcznością i sprytem budowlanym i wyrósł na poważnego młodzieńca.

Nie tęsknił już za ojczystą wyspą jak to dawniej bywało, zżył się ze zwyczajami Robinsona i całym sercem go pokochał.

We dnie pracował ze swym panem, starając się mu we wszystkim dogadzać, wieczorem po przyrządzeniu kolacji zasiadał na posłaniu i długie z nim prowadził rozmowy.



Towarzyszyły im: papuga, wierny pies z okrętu i stare pocziwe lamy.

Przed udaniem się na spoczynek Piętaszek odmawiał z Robinsonem modlitwę, dziękując Bogu za wszystkie zesłane im dobrodziejstwa

---



## CZĘŚĆ V.

### ROZDZIAŁ I.

**Powodzenie Robinsona — Przygotowanie do odwiedzin ojca Piętaszka — Przybycie dzikich na wyspę — Uczta — Przestрах ludożerców — Walka — Uratowanie jeńca — Znalezenie ojca Piętaszka — Wzajemne opowiadanie.**

Nie brakło już niczego Robinsonowi. To, co mu nie pozwalało zająć się konieczną pracą przy domu, otrzymał z rozbitego burzą okrętu.

Miał młotki, łopatki, gwoździe, żelazo, różne narzędzia rolnicze, oporządził więc swój dom, ulepszył forteczkę, porobił nawet zamki do drzwi i zasuw, a robił to ostatnie dlatego, aby w razie najścia ludożerców, którzy tu, według słów Piętaszka, co jakiś



czas wyprawiali swe uczty, mieć się gdzieś zatarasować i bronić.

Pola obrodziły Robinsonowi obficie. Zboża gięły się pod ciężarem kłosów, groch, kukurydza i proso złociły się w upalnym słońcu, a drzewa kokosowe, zasadzone niegdyś przez biednego rozbitka, pochylały się ku ziemi, tak były obciążone orzechami.

Miał już Robinson przy sobie wiernego i oddanego sobie na całe życie towarzysza, mógł przemówić do kogoś, mógł pożalić się w chorobie i ucieszyć się we wspólnym powodzeniu. Zdawało się, że powinien być najzupełniej szczęśliwym i nie pragnąć już niczego więcej, jak dokończenia tutaj życia w spokoju.

A jednak Robinson nie był zupełnie szczęśliwym.

Tęsknota za ukochanymi rodzicami szarpała mu nieraz serce, wywoływała w nocy we śnie widok obojga najdroższych, tak okrutnie przez niego opuszczonych.

I dla kogo? dla czego?.. Dla próżnowania na morzu, dla rozrywki, dla poznania świata! A toż poznaćby mógł, będąc kiedyś szanowanym kupcem i jeżdżąc w zamorskie



kraje po zakup towarów... O, jakżeż był niewdzięczny i nieszlachetny!

Myśl uczynionej rodzicom krzywdy nasuwała mu wciąż obrazy przybijających do brzegu jego wyspy okrętów, codziennie stawał na szczycie góry, niegdyś wybuchłej i wyglądał spełnienia swych marzeń.

Spotykał go wciąż zawód. Rzucił się wtedy, o ile był bez Piętaszka, na ziemię i rzewnemi zalewał się łzami.

Smutny najlepiej zrozumie smutnego. To też Robinson, sam mając ból głęboki w sercu, przeczuł, że i Piętaszek też cierpi i tęskni. Wszak i on miał starego ojca, o którym z takim wzruszeniem opowiadał. I on miał ziemię ojczystą, na której wzrósł i wychował się...

Widział nieraz Robinson na pocziwej twarzy swego przyjaciela smutek i wyraźną tęsknotę, dostrzegł nieraz łzę nawet, którą Piętaszek czempędzejocierał, abyswego dobrego pana nie martwić.

Pewnego więc pięknego dnia, zawołał go do siebie i oznajmił, że za parę dni postanowił wyruszyć do jego kraju i tam jakiś czas pobyć, obawia się tylko, czy go dzicy nie zjedzą.



Piętaszek uszczęśliwiony całował jego ręce, rzucał mu się na szyję i w przystępie radości, wydawał dzikie, jeszcze z dawnych czasów przypomniane, okrzyki.

Poczem zapewnił Robinsona jak najuroczyściej, że mieszkańcy jego krainy napewno przyjmą go gościnnie i nic mu nie zrobią złego.

Zaczęto się więc wybierać w drogę. Piętaszek przygotowywał zapasy, oglądał łódź, czy nie jest uszkodzona i corazto cieszył się wyjazdem.

Tegoż dnia Robinson, jak zwykle, wszedł na wierzchołek góry i chciał spojrzeć na morze, czy czasem nie zawija do niego jakiś okręt.

Zaledwie wziął lunetę do oczu, wydał okrzyk grozy i czempędzej pobiegł do Piętaszka.

Ujrzał bowiem na pełnem morzu sześć nieprzyjacielskich łodzi, kierowali się ku stronie wyspy, na której zawsze wyprawiali swe obrzydliwe uczty.

Przygotowano więc wszystko na powitanie wrogów, jeśli by chcieli do nich zawitać, oczyszczono strzelby, nabito prochem, poczem, usadowiono się przy fortecy, przypa-



trując się zpoza krzaków czynności przybyszów.

Dzicy, wysiadłszy z łodzi, rozpalili w zwykłym miejscu ognisko, poczem z okrzykami i wyciem tańczyli koło niego, podskakując i wyśpiewując radośnie.

Po jakimś czasie Robinson i Piętaszek zauważyli ruch jakiś. Wywołano paru z pośród siebie i wysłano do łodzi.

W chwilę potem dwóch ciągnęło skrępowanego sznurkami jakiegoś białego człowieka do ogniska, podczas gdy inni rozszarpywali i jedli przy ognisku członki innej niešťczęśliwej ofiary.

Robinson, dowiedziawszy się od śledzącego wciąż Piętaszka, iż rzucono już na murawę człowieka, który należał do tej samej, co i on rasy, — postanowił jawnie wystąpić i uratować od śmierci.

Wydawszy rozkaz Piętaszkowi, aby był mu posłusznym i robił to, co mu wskaże, ustawił armatkę okrętową nawprost ogniska dzikich, ale wysoko na wzniesieniu, tak, aby kula przeleciała nad głowami dzikich, przestraszyła ich i zmusiła do ucieczki lub zamieszania, podczas którego porwałby on al-



bo Piętaszek owego białego i uniósł do swej grotty.

Jak myślał, tak zrobił. Kula przeleciała nad głowami dzikich, nikogo nie raniąc, ale przerażając wszystkich okropnie.



Popadali twarzą do ziemi i leżeli tak przez czas jakiś bez ruchu. Wskoczyli jednak wkrótce i spostrzegłszy, że nic im nie grozi, rozpoczęli nanowo tańce koło ogniska.



Wtedy Robinson, bojąc się, aby nie zabrali się do mordowania nieszczęśliwego jeńca, dał wystrzaly armatnie jeden po drugim, po których znów padli na ziemię, niektórzy zaś zamierzali uciekać.

Korzystając z chwili przestachu, Robinson celnym strzałem zwałił na ziemię paru dzikich, poczem rzucił się ku spętanemu jeńcowi, rozciął mu więzy i zapytał, kim jest.

Ten ostatni nie rozumiał mowy Robinsona, dopiero po jakimś czasie odpowiedział mu, że jest Hiszpanem.

Wypiwszy szklankę wina, wzmocniony na siłach, poprosił Robinsona o pałasz i rzucawszy się ku swym wrogom, dwóch zaraz położył trupem.

Tymczasem dzicy, obejrzawszy się dookoła i widząc, że mają do czynienia z ludźmi nie z siłami potężniejszymi od ludzi, postanowili się bronić.

Ale Robinson wraz z Piętaszkiem i uwolnionym białym tak celnie prażyli kulami i prochem, że pozostało tylko trzech ludożerców przy życiu.

Dwóch z nich zaczęło czempredzej uciekać do swych łodzi, jeden zaś z nich ol-



brzym muskularny postanowił się nie dać pobić.

Rzucił się na uwolnionego przez Robinsona jeńca i zamachnąwszy się siekierą zamierzał uciąć mu głowę.

Szczęściem, obserwujący tę scenę Robinson, wystrzelił, kładąc go trupem.

Pozostali teraz na wyspie nasi trzej bohaterowie i dwudziestu jeden zabitych ludożerców.

Dwóch, którzy ratowali się ucieczką, wpadło do łodzi i czempędzej odплыnęło w przeciwną stronę.

Robinson podszedł do pozostawionych na brzegu łódek i ze zdumieniem spostrzegł leżącego w jednej z nich spętanego sznurami człowieka.

Miała to być jeszcze jedna ofiara dzikich okrutników.

Człowiek ten był ciemnej cery i stary. Nie umiał nic odpowiedzieć na zadawane przez Robinsona zapytania, a po rozwiązaniu sznurków nie mógł się podźwignąć.

Robinson zawołał Piętaszka, aby w ojczystym swym języku rozmówił się z niešťęśliwym, a sam poszedł do uwolnionego od śmierci Hiszpana, postanawiając dowie-



dzieć się skąd przybywa i w jaki sposób dostał się w ręce ludożerców.

Zaledwie Piętaszek podszedł do starca leżącego w łodzi, zaczął wydawać okrzyki radości, płakał, klaskał w ręce, rzucał się na szyję biedaka i całował po rękach.

Robinson nie mógł pojąć, co mu się stało. Zdziwiony stanął przy nim, zapytując, czygo by się tak cieszył.

— To mój ojciec! to mój kochany stary ojciec! — wołał z płaczem radości Piętaszek. — Tyś go, panie uratował! przez ciebie mam mego ojca! O, panie mój, panie! jakżeż cię kocham!..

I odszedłszy od ojca rzucił się do stóp Robinsona i całował go i dzięki mu składał.

Robinson, mocno wzruszony kazał wynieść z łodzi nieszczęsnego jeńca i ułożyć na posłaniu, napoiwszy winem i nakarmiwszy mięsem lamy.

Stary ojciec opowiadał synowi, że właśnie dziś wypadła u dzikich wielka uroczystość na cześć Tupana i że porwali jego, kolegę i przyjaciela Piętaszka i tego tutaj Hiszpana na ucztę.



Przyjaciel Piętaszka został zamordowany i zjedzony, ich dwóch zaś ocalało, dzięki panu tej wyspy.

Nie mogąc wyrazić inaczej wdzięczności Robinsonowi, przykładał ręce do ust i jak dziecko posyłał w jego stronę pocałunki.

Robinson załatwiwszy się ze starym ojcem swego towarzysza, poszedł na pole walki i tam wspólnie z Hiszpanem i Piętaszkiem wykopali głębokie doły i pogrzebali zabitych. Piętaszek grzebiąc kości swego zamordowanego przyjaciela, gorzko płakał.

Po obiedzie i wykonaniu zwykłych zajęć, Robinson usiadł z Hiszpanem w swej grocie i prosił go o opowiedzenie wypadków, poprzedzających jego tu przybycie na wyspę i ocalenie.

Okazało się, że uratowany Hiszpan był pasażerem rozbitego podczas burzy okrętu i że wioził murzynów do plantacji. Podczas burzy, okręt wpadł na skały, których nie spodziewali się tam napotkać, jedni z murzynów przyплыnęli do brzegu szczęśliwie i ratowali się od niewoli ucieczką, inni prawdopodobnie zginęli w bałwanach morskich.

Wpadnięcie na skałę wywołane zostało buntem załogi, która odmówiła posłuszeń-



stwa kapitanowi i nie skierowała okrętu w bezpieczne miejsce.

Hiszpana wyrzuciła fala morska na brzeg jakiejś wyspy, gdzie dzicy przyjęli go z początku bardzo gościnnie i nie groziło mu nic z pozoru.

Wskutek jednak potrzeby dostarczenia na uroczystość ludzi do pożarcia, złapano dwóch krajowców i jego, związano i przywieziono na miejsce zwykłe ich uczt obrzydliwych.

Robinson z zajęciem słuchał opowiadania, które go mocno interesowało i ze względu na to, że okręt ten rozbił się u brzegów jego zamieszkania i z nadziei, że Hiszpan, być może, ułatwi mu powrót do Marsylji.

Opowiadał mu wtedy swoje dziwne przygody, swą ucieczkę z domu rodzicielskiego, rozbicie się okrętu, swą niedolę, dopóki nie powynajdywał pożywienia, tęsknotę swą za rodzicami, za mową ludzką, zdobycie sobie przyjaciela w osobie Piętaszka i wszystkie dalsze przygody.

Doszedłszy do miejsca, w którym miał mówić o znalezionym okręcie, zapytał, czyje były klejnoty i pieniądze, które znalazł i które zachował do zwrotu.



Hiszpan mocno uszczęśliwiony powiedział, że wiozł je dla wdowy po pewnym marynarzu, który umarł na żółtą febrę w czasie podróży i polecił to zwrócić swej żonie.

Naopowiadawszy o wszystkim udali się na spoczynek i wkrótce sen zamknął im oczy do rana.

## ROZDZIAŁ II.

**Wyprawa Hiszpana wraz z ojcem Piętaszka na wyspę po rozbitków—Przyjazd nieznanymi ludźmi—Ocalenie Kapitana i dwóch towarzyszy — Uwięzienie winnych — Przebaczenie buntownikom.**

Nazajutrz Robinson, jako król wyspy i władca wydał rozkazy swym podwładnym, którzy z gotowością robili co im kazał.

Piętaszek miał dużo pracy ze swym ojcem, który nie chciał w żaden sposób zrozumieć, że jedzenie ludzi jest czemś obrzydliwym, nie tracił jednak nadziei, że biedny, nawykły do tego starzec, oduczy się od robie-



nia tego, co dla ludzi cywilizowanych jest wstrętnem.

Robinson nazwał ojca Piętaszka Czwartkiem i obchodził się z nim tak życzliwie, że dziki ten człowiek mimowoli wyciągał ku Robinsonowi ręce, gdy ten przechodził i najczulszemi na niego wołał słowami.

Razu pewnego, jakoś w kilka dni po bitwie z ludożercami, Robinson zawołał Hiszpana, Piętaszka i jego ojca i przedstawił im rzecz taką.

Hiszpan powinien wracać na wyspę, z której przyprowadzono go na rzeź i sprowadzić resztę swych towarzyszy, którzy również jak on zostali cudownie ocaleni.

Wraz z nim odjedzie ojciec Piętaszka, który pozostawił tam rodzinę i który może już zupełnie spokojnie tam osiaść, gdyż plemię wrogie, które napadło na cichych i dobrych mieszkańców wyspy, już odjechało, a większa część wyginęła z rąk Robinsona i Piętaszka.

Piętaszka Robinson nie puszczał, bał się o niego, myśląc, że w razie wynikłej burzy, straciłby najlepszego i najdroższego przyjaciela i towarzysza niedoli.



Przed wyruszeniem w drogę Hiszpan czuł się w obowiązku uprzedzić Robinsona, że ci, którzy są obecnie na wyspie z dzikimi, nie są ani posłuszni ani dobrzy.

Jeśli ich wszystkich tutaj sprowadził mógłby wyniknąć bunt i stać się wielkie nieszczęście.

Radził więc Robinsonowi, żeby jako król tej wyspy, na którą mają przybyć jego poddani, wydał rozkazy i przepisy, które albo przyjąć albo odrzucić mogą, ale w tym ostatnim razie przyjeżdżać im nie będzie wolno na wyspę Robinsona.

Przepisy były następujące:

1) Ktokolwiek postawi nogę na tej wyspie winien jest posłuszeństwo, swemu władcy Robinsonowi Kruzoe z Marsylji.

2) Wszelkie zatargi między mieszkańcami rozsądzać będzie Robinson.

3) Każdy z przybyłych na wyspę powinien stawać w obronie Robinsona.

4) Wszyscy prowadzić mają życie pracowite i umiarkowane.

Hiszpanie! o ile godzicie się na te warunki, przybywajcie, kładąc przedtem podpisy pod tą ustawą.

Robinson.



Hiszpan zabrał to pismo i pożegnawszy się z Robinsonem i Piętaszkiem wyruszył w drogę, zapowiadając swój prędki powrót na wyspę.

Po odpłynięciu łodzi, Robinson, chcąc zerwać zasmuconego odjazdem ojca, Piętaszka, wyszedł z nim na polowanie.

Wkrótce, gdy Piętaszek poszedł w głąb wyspy w poszukiwaniu zwierzyny, rozległ się głośny okrzyk przestachu. Zanim Robinson nadbiegł, Piętaszek stanął przed nim przerażony do najwyższego stopnia, wołając, że tam w norze zobaczył jakiegoś złego ducha z oczami iskrzącymi i straszliwą postacią.

Robinson, z góry wiedział, że nic podobnego tam być nie mogło, zeszedł nawet do środka i ujrzał starą lamę, która tu przyszła życie zakończyć w spokoju.

Szklisty wzrok zgasłego zwierzęcia nappełnił przestachem Piętaszka i naraził go na śmiech ze strony Robinsona.

— Ach, kiedy ty się zmienisz na tym punkcie? — powiedział do niego Robinson — czyż ci nie wstyd byle czem się przerażać!

Wyciągnięto lamę i zakopano, norę zaś, która okazała się wysokości człowieka, prze-



znaczył Robinson na piwnicę. Dorobiono drzwi i zamknięto je na klucz, mając nadzieję, że przyda się ona wkrótce.

Ośm dni minęło od wyjazdu Hiszpana a żadnej jak dotąd nie było wiadomości.

Pewnego ranka, gdy Robinson zajęty był gotowaniem śniadania, dał się słyszeć okrzyk radości Piętaszka: Wracają! wracają!..

Robinson wziął lunetę i wpatrzywszy się w dal ujrzał rzeczywiście łódź z podróżnymi.

Przyglądał się raz drugi i trzeci i pobladły wyszeptał: To nie oni, to jacyś inni ludzie...

Piętaszek przeląkł się bojąc się napadu dzikich, którzy może postanowili pomścić śmierć swych towarzyszy, ale Robinson uspokoił go, radząc, aby ukrywszy się za górą wulkaniczną obserwować przybycie owych łodzi i postępowanie podróżnych.

Wkrótce też upewnił Piętaszka, że nie są to dzicy lecz biali ludzie, jak z ubioru widać Anglicy.

Ukryci za górą widzieli jak wysiadło jedenastu ludzi. Ośmiu z nich było uzbrojonych, a trzech bez broni. Ci ostatni byli skuci łańcuchami, po przybyciu jednak na brzeg, zostali rozkuci i puszczeni na wolność.



Jeden z nich rzucił się na kolana, wznosząc błagalnie ręce, jakby o coś prosząc, dwaj inni z rękami złożonemi rozpacznie, wzrok swój skierowali ku niebu, jakby stamtąd szukając ratunku.

Na ten dziwny widok Robinson poczuł dreszcze w ciele i nie wiedział co o tem wszystkim myśleć.

Piętaszek wyszeptał cichutko ale z tryumfem do swego pana, że i jego biali ziomkowie też będą mordowali i jedli ludzi.

Ale Robinson gorąco zaprzeczył temu przypuszczeniu, przyglądając się dalszemu ciągowi tej sceny.

Jeden z uzbrojonych głosem silnym i uroczystym coś mówił do klęczącego u stóp jego człowieka, wreszcie odszedł wgląd lasku wraz ze wszystkimi uzbrojonymi, pozostawiając tych troje na brzegu.

Po odejściu uzbrojonych, trzech pozostali rzucili się w rozpacz na ziemię, płacząc i wołając do Boga o ratunek.

Wzruszony Robinson, wyczuwając z ich postępowania, że są nieszczęśliwi, postanowił ich uratować.



Rozkazał Piętaszkowi uzbroić się od stóp do głowy i przynieść mu również broń i prochu ile tylko się da unieść.

Piętaszek, z szybkością ptaka rzucił się ku mieszkaniu, aby jaknajprędzej i jaknajlepiej wypełnić polecenie swego pana, Robinson zaś, obserwując w dalszym ciągu przybyłych, zauważył, że ci, którzy byli uzbrojeni odeszli w cień i ułożyli się na wypoczynek pod drzewami, aby przebyć tam najupalniejsze godziny.

Jak tylko Piętaszek powrócił z bronią, Robinson uzbroiwszy się należycie, podbiegł ku trzem nieszczęśliwym, leżącym na brzegu morskim.

— Kto jesteście — zapytał.

Trzech przybyłych zerwało się na nogi w przestraszu, gotowi do natychmiastowej ucieczki.

Wtedy Robinson, chcąc ich uspokoić, powiedział po angielsku: — Nie bójcie się. Chcę was ocalić!

Uspokoił się natychmiast, a jeden z nich, chwytając dłoń Robinsona w swoje ręce błagał:

Ratuj nas panie! ratuj!



— Skąd jesteście i co wam się przytrafiło takiego, żeście tak zrozpaczeni?—zapytał po raz drugi Robinson.

Wtedy jeden z nich opowiedział co następuje:

Jestem kapitanem załogi, oto mój majątek, a to jeden z podróźnych.

Załoga okrętowa zbuntowała się, wyrzuciła nas tu na brzeg, jak myśleli, bezludnej wyspy, a sami mają zamiar podzielić się bogactwami znajdującymi się na okręcie. Ci dwaj, moi towarzysze niedoli, trzymali mnie za stronę i za to razem ze mną skazani zostali na wygnanie.

— Czy chcecie mnie słuchać dopóki będziecie na tej wyspie? Czy odwieziecie mnie do Anglii, jeśli uda się nam zdobyć okręt i obezwładnić buntowników? Jeśli się na to godzicie, obiecuję was wyratować—powiedział Robinson.

— Będziemy panu posłuszni, zrobimy co nam każesz, tylko ratuj nas! — zawołał kapitan.

— Oto broń i strzelby, — rzekł do nich Robinson — bierzcie panowie... Wrogowie wasi śpią, zaskoczeni we śnie, nie potrafią



się obronić, zwiążemy ich i zmusimy do posłuszeństwa.

Skierowawszy się w stronę lasu, gdzie leżeli uspieni, Robinson rzucił się na jednego leżącego z brzegu i zakneblował mu usta, poczem związano go i zostawiono w spokoju.

Tożsamo zrobiono z pięciu uspienymi, ale trzej ostatni, drzemiąc tylko, usłyszeli jakiś szelest i podnieśli się szybko, nasłuchując i patrząc, co się stało.

— Poddajcie się! — zawołał Robinson —

Przejęci strachem, padli do nóg Robinsona.

— Łaski. łaski. — wołali, zwracając się też do stojącego obok kapitana.

Z rękami i nogami związanymi wrzucono ich do piwnicy niedawno odkrytej i zapowiedziano, że są strzeżeni i że pierwsze ich usiłowanie ucieczki będzie karane śmiercią.

Po zapowiedzeniu tego Robinson pobiegł z kapitanem do okrętu, zerwał żagiel, podziurawił go, aby nie mógł już służyć.

Koło godziny trzeciej po południu rozległ się huk armatni i ujrzano drugi statek zmierzający ku wyspie i poszukujący zbuntowanych marynarzy, którzy mieli połączyć



się z przybyłymi i podzielić znajdującymi na okręcie skarbami. Na statku tym było dzie-  
więciu ludzi uzbrojonych.

Podczas przyglądania się przybyłym ka-  
pitan oznajmił Robinsonowi, iż pomiędzy  
więźniami znajduje się trzech uczciwych,  
zmuszonych tylko przez przywódcę bunto-  
wników, Atkinsa do przejścia na ich stronę.  
Mogliby być teraz pomocni.

Piętaszek wraz z Robinsonem wyprowa-  
dzili z lochu trzech wskazanych więźniów  
i kapitan, po ostrem do nich przemówieniu,  
przebaczył im i polecił pomagać w walce  
z przybyłymi. Więźniowie żelzami w oczach  
przrzekli posłuszeństwo i pomoc w walce.

Robinson uzbroił ich i odebrał przysięgę  
na wierność, poczem poszedł czuwać nad  
ruchami przybyłych.

Ci ostatni przebiegali brzeg morski, wo-  
lając swych towarzyszy, bojąc się wchodzić  
na wyspę, na której, jak przypuszczali zginę-  
li ich współbuntownicy.

Obawiając się odplynięcia ich bez wej-  
ścia na wyspę, Robinson kazał sprowadzić  
jednego z więźniów, który stanawszy pod  
drzewem miał wołać: — Jesteśmy tutaj.  
Idziemy!



Marynarze, słysząc wołanie podeszli bliżej, zapytując, — Gdzie jesteście?..

— Tutaj! tutaj! — wołano.

Podchodząc coraz to bliżej, buntownicy zostali otoczeni przez naszą gromadkę, a będąc strasznie zdziwieni i przerażeni pojawieniem się uzbrojonych ludzi w towarzystwie ich kapitana, padli do nóg, prosząc o łaskę.

Skępowano ich i przeprowadzono do lochu. Za nimi przyszła reszta marynarzy, których prawie bez oporu obezwładniono.

Wszystkim obiecano przebaczenie, o ile okażą żal i przysięgną być wiernymi. Jednemu tylko przywódcy Atkinsowi nie można było winy darować.

### ROZDZIAŁ III.

Rozkazy Robinsona — Wyjazd kapitana po resztę opornych marynarzy — Radość z powodu możliwości dostania się do Marsylii — Kapitan chce mu ofiarować swój okręt — Powrót Hiszpana z ojcem Piętaszka — Prośba Anglików i Hiszpanów o pozwolenie pozostania na wyspie — Pożegnanie Robinsona — Wy-



**jazd — Burza przy brzegach Marsylii — Utra-  
ta złota — Powitanie rodziców.**

Robinson rozkazał buntownikom aby uznali z powrotem władzę swego kapitana i obiecali mu posłuszeństwo i pomoc w nakłonieniu pozostałych na drugim brzegu opornych do zaprzestania buntu.

Obiecali z wielką skruczą i pojechali po swych towarzyszy, których zmusili do posłuszeństwa kapitanowi i którym kapitan przebaczył, osiedlając jednak na czas jakiś na wyspie.

Robinson, wysławszy kapitana na drugi brzeg morza, z niepokojem oczekiwał jego powrotu. Napastowały go myśli, że nie wróci może po niego, że pojedzie drogą ku swej ojczyźnie.

W tak strasznych chwilach zwątpienia w szlachetność ludzką, rzucał się na kolana i wołał do Boga, żeby, o ile się tak stanie, jak myśli, dał mu siły do zniesienia tego ciosu.

Ale dosyć już miał cierpień, tęsknoty i kary za popełnione przed dwunastu laty nieposłuszeństwo, Bóg miłosierny uważał, że nacierniał się już dosyć, że za nierozwa-



gę młodzieńczą ukarany był bardzo dotkliwie.

To też wrócił kapitan ze swym okrętem i chciał zaraz zabrać Robinsona i Piętaszka i wywieźć z wyspy.

Robinson jednak prosił, aby poczekać na Hiszpana i ojca Piętaszka, gdyż obiecał Hiszpanowi, że, o ile sam będzie stąd wyjeżdżał i jego ze sobą zabierze.

Przez czas oczekiwania, Robinson odwiedzał wszystkie zakątki wyspy, żegnał się z każdym drzewem i krzewem, z błękitem jasnego nieba i z cudnem złocistym słońcem.

Szlachetne serce Robinsona przywiązało się w swej niedoli do wszystkiego i teraz, chociaż dusza rwała się do ojczyzno-kraju, serce cierpiało z powodu wyjazdu z wyspy, która mu dużo chwil radości przyniosła.

Każdy szczegół budził w nim wspomnienia chwil radosnych odkrycia czegoś niezbędnego, nawet burza, która wybuchła podczas oczekiwania na Hiszpana przywiodła mu na myśl radość z otrzymania wskutek upadłego pioruna, tak pożądanego ognia.

Jego więc radość z projektowanego wkrótce wyjazdu do rodziny łączyła się ze



smutkiem, z powodu opuszczania pamiątek swego pobytu na wyspie i widocznego czuwania nad nim Opatrzności.

Na żegnaniu wyspy i rozmowie z kapitanem czas przechodził szybko i przyszła chwila, że zawinęła łódź z Hiszpanem, ojcem Piętaszka, dwiema kobietami nieznanymi i jeszcze jakimś pasażerem, do brzegów wyspy Robinsona.

Z jaką radością witał znów Piętaszek swego starego ojca, jak cieszył się, że z nim jedzie do kraju Robinsona.

Dwaj Hiszpanie przybyli na łodzi, przywieźli ze sobą swe żony, prosząc Robinsona o pozwolenie osiedlenia się z niemi na wyspie.

Robinson zgodził się z największą chęcią, a obróciwszy się do znajdujących się na wyspie Anglików i Hiszpanów, wyrzekł te słowa:

Oddaję w posiadanie wasze wyspę tę całą. W ręce dwóch Hiszpanów kładę władzę rządu wyspą i moją rezydencją. Wszystka broń i amunicja do nich też będzie należała.



Wy wszyscy tutaj obecni winniście ich słuchać i za wyłamanie się z pod posłuszeństwa będziecie surowo karani.

Pracujcie wspólnie i gorliwie bez utarczek i niezgód. Dzielcie się sprawiedliwie zbiorami tej ziemi. Jeśli będziecie uczciwi i pracowici, czuć się będziecie szczęśliwymi, jak ja się czułem szczęśliwym przez tych lat dwanaście.

Powiedziawszy te słowa, Robinson odebrał przysięgę wierności i posłuszeństwa i odszedł aby się przygotować do wyjazdu.

Najpierw wybrał to wszystko z czem się nie chciał rozłączyć, a więc zabrać postanowił dwie ukochane lamy, papugę i psa. Z ubiorów zabrał pamiątkowy parasol, kapelusz, ubranie ze skór lamy, broń przez siebie zrobioną, zrobione przez siebie naczynia kuchenne i inne drobiazgi.

Prócz tego zabrał bryłę złota, klejnoty i pieniądze dla żony zmarłego marynarza, mundur oficerski i parę pamiątkowych rzeczy.

Przygotowawszy wszystko, wyznaczono podróż na dzień najbliższy.

Robinson wraz z Piętaszkiem przyrzędzili na pożegnanie wspaniałą ucztę dla wszyst-



kich znajdujących się na wyspie. Często wano wszystkim tem, co było najlepszego w spiżarni. Wspaniałe wina z okrętowych zapasów rozlewano w kielichy i częstowano wszystkich, zastawiono najpyszniejsze potrawy i weselono się do późna, ze smutkiem jednak myśląc o tem, że pana tej wyspy, szlachetnego i dobrego Robinsona nazajutrz nie będzie między nimi.

Wieczorem Robinson przed ułożeniem się na spoczynek rzucił się na kolana przed krzyżykiem zawieszonym na ścianie i w żarliwych słowach dziękował Bogu za swe ocalenie i możność powrotu.

Nigdy bardziej wdzięczna modlitwa nie płynęła z ust ludzkich nad tę z ust biednego rozbitka ku niebiosom się unoszącą...

Łzy bezmiernej wdzięczności sływały po licach Robinsona, napelniając Piętaszka również przeświadczeniem, że gdyby nie ten modlący się tak żarliwie, nie byłby już na tym świecie...

Na drugi dzień rano Robinson, paru Hiszpanów, Piętaszek, jego ojciec i kapitan opuścili wyspę Robinsona, żegnani i przeprowadzani do samego brzegu.



Z pokładu okrętu spoglądał jeszcze Robinson na swą ukochaną wyspę i odpowiadał na okrzyki pożegnania tych co pozostali.

Wyspa zdawała się coraz mniejszą, poczem zamieniła się w mały punkcik, aż znikła z oczu zupełnie.

W cztery tygodnie po odplynięciu przybito do portu ku wielkiemu zadowoleniu tych, którzy pragnęli wrócić do swej ojczyzny.

Robinson rozpoczął poszukiwania wdowy po zmarłym marynarzu, aby wręczyć jej pozostałe po mężu klejnoty i pieniądze.

Znalazł ją wraz z czworgiem dzieci w bardzo przykrem położeniu materjalnem i łatwo zrozumieć jej radość z powodu otrzymania pokaźnej sumy i wdzięczność za szlachetny uczynek Robinsona.

Po wypełnieniu tego obowiązku ruszyli w dalszą drogę ku Anglii.

W drodze do Anglii spotkał ich wypadek bardzo smutny. Biedny Czwartek, ojciec Piętaszka zachorował ciężko i nic go nie było w stanie uratować.

Umarł na rękach zrozpaczonego syna, którego przez długi czas nic pocieszyć nie było w możności.



Wrzucono ciało do morza i długo wspomniano dobrego, cichego starca, który nikomu nie był zawadą, przeciwnie starał się o ile możliwości każdemu w czemś dopomódz.

Przybywszy do Anglii, Robinson wyszukał kupca, któremu zwrócił zachowane i zabrane z rozbitego okrętu złoto i wysłuchał od niego mnóstwo niezliczonych błogosławieństw i podziękowań za zwrot całego jego majątku.

Natychmiast spłaciwszy długi, rozpoczął handel nanowo, we wspomnieniach swych przez całe życie zachowując postać i imię zacnego Robinsona.

Z Londynu wyruszyli do Marsylji. Robinsonowi wyjazd do ziemi ojczystej zdawał się być snem tylko. Nie mógł pojąć, że naprawdę jedzie do swych ukochanych, że stopą swą dotknie ziemi rodzinnej, że ucałuje drogie dłonie rodziców.

A jeśli nie żyją? Jeśli zgryzota z jego powodu zabiła te szlachetne istnienia! O, Boże! lepiej nie wracać, jeśli by tak było...

Coraz bardziej zbliżano się do Francji... Oto wyspa If, ta urocza ustronia, wiecznie kwieciami pokryta... Oto znajome a już widoczne szczyty wieży kościelnej!..



Naraz burza straszliwa, tak, jak wtedy, przed laty dwunastu miotać poczęła okrętem i na wszystkie go rzucać strony.

Uratowali życie, ale dużo rzeczy zatnęło w głębokościach morskich. Dopłynęli do



brzegu, ale dwóch lam nie było. Biedaczki utonęły w falach! Złota bryła również znikła gdzieś podczas burzy, zapewne na dnie morza spoczęła.



Robinson więc wracał do swego kraju tak ubogi, jak i przedtem.

Ale nie obchodziła go utrata złota, — bogatszym był nad wszystkie bogacze, bo miał ziemię ukochaną pod swojemi stopy, bo oddychał ojczystem powietrzem, bo najdroższe dłonie rodziców miały go wkrótce do serca przytulić!...

Rozdzwoniły się dzwony Marsylji na powitanie wracającego Robinsona, rozjaśniły się poranną zorzą niebiosa na powrót i wieże domów i szczyty kościołów ozłociły się promieniami słońca, aby go w szacie godowej powitać.

Biegł przez dobrze znane ulice z tęsknotą w sercu i z rozpaczą, że może ich, tych najukochańszych już nie zastanie...

Wszedł, roztworzył drzwi gabinetu ojca i cóż ujrzał?

Podniosły się z fotelów dwie ze srebrnymi włosy postacie i z okrzykiem radości rzuciły się ku Robinsonowi.

Utuliły go w objęciach i stęsknionemi usty ucałowały rozbitka.

A on upadł do stóp ich i witające dłonie całował!...



Dłgie, długie tygodnie nie opowiadano o niczem innem w Marsylji, jak o powrocie Robinsona i jego przygodach.

Piętaszek, przyjęty serdecznie, pozostał przy swym wybawcy, Robinsonie.

---



## CZĘŚĆ VI.

### ROZDZIAŁ I.

#### PO POWROCIE DO KRAJU.

**Robinson ma być zabezpieczony — Śmierć rodziców — Nowa chęć do podróży — Wyszukanie kapitana, który Robinsona przywiózł do Marsylji — Ożenienie się Robinsona — Wyprawa w celu zapomnienia o nieszczęściu.**

Odpczawszy w swym kraju, pod troskliwą opieką ukochanych rodziców, Robinson postanowił wyszukać kapitana, którego tak szczęśliwie udało mu się wyrwać z rąk buntowników.

Po długich poszukiwaniach, natrafił w końcu na ślad jego bytności i z okrzykiem radości został przez niego przyjęty.



Spotkała tu Robinsona niespodziewana zupełnie owacja. Wdzięczny kapitan, pamiętając o zasługach Robinsona i jego wielkich zdolnościach rządzenia, przedstawił go za kwalifikującego się do nagrody za odkrycie i uprawianie przez lat dwanaście nieznannej dotąd wyspy i za waleczność w odpieraniu nieprzyjaciół i uśmierzaniu buntowników.

Pieniądze otrzymane ucieszyły go bardzo, bo, jak wiemy, wrócił z niczem, gdyż bryła złota utonęła podczas burzy przed samem zawinięciem do portu.

Handel prowadzony przez rodziców musiał być zamknięty, staruszkowie, zaniedbali go, długi wzrastały, towaru bez pieniędzy nikt dać nie chciał i byliby spadli na dno ostatecznej nędzy, gdyby nie Robinson, który postanowił pracować, aby dać byt dostatni rodzicom, a i sobie zapewnić egzystencję.

Otrzymanie dużej sumy pieniężnej z rąk kapitana odrazu postawiło go na stanowisku wypłacenia się rodzicom za koszty na niego kiedyś poniesione.

Otoczył ich troskliwą opieką i dostatkiem, dobrocią umiłał im życie, tak bardzo wskutek przejść bolesnych stargane i pragnął, że-



by tak było długo, żeby mógł swymi staruszkami cieszyć się i opiekować.

Ale los zawistny nie dał mu tego szczęścia. Rodzice Robinsona bardzo szybko chylili się ku mogile.

Posiwiwały przedwcześnie głowy, zniedołężniały nogi, zatraciła się pamięć, niegdyś bardzo żywa...

Ze smutkiem patrzył Robinson na tą szybką w nich zmianę i gdyby nie Piętaszek uspokajający wciąż i zawsze bardzo go kochający i życzliwy, byłby poddawał się rozpacz.

Nadeszła wreszcie ze zgrozą oczekiwana chwila.

Pewnego dnia biała głowa zacnego starca pochyliła się na pierś nieruchoma a usta wydały ostatnie tchnienie... Zaledwie zdołały wyszeptać dla ukochanego syna błogosławieństwo.

Matka przeżyła swego męża tylko o dni kilka.

Cóż za boleść dla Robinsona! Zaledwie, po tak długiej rozłące zeszedł się z ukochanymi, zaledwie zaczął im miłością swą i dostatkiem odplacać się za trudy dla niego poniesione — stracił swych umiłowanych



i oto pozostał znów, jak na wyspie sam ze swym towarzyszem Piętaszkiem.

Załamaly się rozpacznie dłonie u Robinsona, upadł na duchu a serce zdawało się już pękać, gdy tych najdroższych, których chciał mieć do końca swego życia, ziemi oddać musiał...

Ale serce ludzkie dużo potrafi wytrzymać. Nie pękło mu serce, nie poszedł za rodzicami do ziemi, ból został i pozostała tęsknota, ale uspokojenie przyszło i Robinson zaczął myśleć o swym bycie i o zapewnieniu sobie na stare lata ciepłego kąta.

Piętaszek był mu zawsze wiernym i nieodstępny przyjacielem, pracownikiem sumiennym i czujnym na wszystko opiekunem.

Chłopiec ten, jak go zwał jeszcze dotąd Robinson, miał wprawdzie już lata dojrzałe, ale dzieckiem był wciąż, wszystkiemu się dziwiącem i za wszystko bez granic wdzięcznym.

Patrzył na Robinsona, jak na swego wybawcę i ojca, zdawał się podsłuchiwać jego myśli, aby natychmiast to spełnić, czego ten wchęci, tylko tajemnej zażądał.

Wierniejsze szlachetniejszej duszy,



wierniejszego serca, nad serce tego czarnego towarzysza, nie znalazłby Robinson.

To też przywiązał się do niego, nie jak do sługi, ale jak do brata i ze wszystkim mu się zwierzał i każdą troską i radością z nim się dzielił.

Smutek Robinsona po stracie rodziców był tem większy, że na każdym kroku stykał się z czemś ich przypominającym.

Lzy padały mu z oczu na widok różnych drobiazgów ręką ukochanej matki dla niego wykonanych, płakał schylony nad książkami, które ojciec jego odczytywał i w których różne zdania kojące ból po ucieczce syna znajdował.

Wzruszała go ręką matczyną zawieszona fotografia, wtedy, gdy miał lat kilka zaledwie... Wszystko, wszystko, rozdzierało mu serce, rozkrwawiało jego rany.

Co miał począć?.. Pozdejmować ze ścian portrety, pousuwać fotele i sprzęty przez nich używane?.. Tego nie mógł wykonać..

Pozostało mu uciec od tych miejsc wspomnienia i choć czas jakiś być zdala od tego, co sprawiało ból i napępniało rozpaczą.



A że Robinson nie wyzbył się jeszcze chętki podróży, że mieszkało w nim wciąż zamiłowanie do zwiedzania obcych krajów, postanowił zabić w sobie wspomnienie wyjazdem na jakiś czas z Marsylji.

Zwierzył się więc z tem Piętaszkowi, który wieść o wyjeździe przyjął okrzykami radości i zaraz chciał się do podróży przygotowywać.

Cieszyła go nietylko wyprawa z powodu zamiłowania do wędrówek, ale i ze względu na Robinsona, o którym wiedział, że łatwiej zapomni i przeboleje stratę rodziców gdzieś na obczyźnie, jak tutaj.

Ale Robinson, mający zamiar zwiedzić wyspę, na której tyle lat przebywał, postanowił wywiedzieć się przedtem, jak się tam rządzą, kto rządzi i jakie zyski mają ci, którym swe interesa zostawił.

Odpowiedź zaraz nadeszła i to bardzo dla niego pomyślna.

Robinson był panem pokaźnego majątku. Dziesięć tysięcy funtów sterlingów otrzymał z banku, jako udział, tysiąc zaś funtów sterlingów otrzymał za dzierżawienie wyspy od dzierżawcy.



Dowiedział się również, że ci, których zostawił na wyspie, jako zarządców, dawno umarli, są nowi, którzy zupełnie tak, jak Robinson polecił, uprawiają wyspę i rządzą.

Uradowany Robinson postanowił pojechać okrętem i doczekawszy się stosownej chwili, kiedy okręt wyruszał do Brazylii, wybrał się już prawie w drogę. Nawet walizy i kosze z rzeczami, i pożywieniem dla siebie i Piętaszka były już na okręcie złożone. Ale w ostatniej chwili, na godzinę przed odjazdem, głos jakiś wewnętrzny, jakieś groźne przeczucia nieszczęścia, kazały mu zabrać pakunki z okrętu i przenieść je na inny, też do Brazylii wyruszający.

Opatrzność, która wciąż nad nim czuwała, ostrzegła go przed wsiadaniem i na ten okręt. Coś odpychało go przed wyruszeniem w drogę i to do tego stopnia, że on, takkochający morze, postanowił nie jechać niemi, zabrał i stąd swoje rzeczy i wrócił do domu.

Zamiarem jego było teraz jechać ładem. Dobrze zrobił Robinson, że głosu wewnętrznego posłuchał.

Dowiedział się wkrótce, że pierwszy z okrętów, do Brazylii jadących, został za-



brany przez korsarzy, drugi rozbiwszy się o podwodne skały, podróżnych w falach morskich pogrzebał.

Jakżeż wdzięcznym był Robinson Bogu, za to wewnętrzne ostrzeżenie i jak utwierdzał wszystkich w tem przekonaniu, że przeczuciom wierzyć się powinno.

## ROZDZIAŁ II.

**Wyjazd Robinsona do Brazylii — Jazda konna przez lasy — Spotkanie z wilkami — Taniec Piętaszka z niedźwiedziem — Przerazenie Piętaszka na widok śniegów i obawa zmarznięcia — Przybycie do Londynu — Sprzedaż wyspy — Chęć spędzenia reszty życia w Marsylji — Robinson się żeni — Śmierć żony — Rozpacz Robinsona i projekty nowego wyjazdu.**

Wziąwszy przewodnika, doskonale znającego drogę lądową do miasta, w którem Robinson miał dowiedzieć się jeszcze dokładniej o stanie swych interesów i rządzeniu wyspą, Robinson dosiadłszy konia i ku-



piwszy też Piętaszkowi doskonałego wierzchowca, wyruszył w daleką ale bardzo dlań miłą podróż.

Jakież jednak było zdziwienie i rozczarowanie Robinsona a rozpacz nie znającego widoku śniegów Piętaszka, gdy przejechawszy kawałek drogi, spotkali góry pokryte całkowicie śniegiem a zimny wiatr zaczął się im dawać we znaki.

Robinson również nienawykły do mrozów, nie wiedział, co robić, tembardziej, że straszliwe zaspasy śnieżne, wysokości człowieka nie pozwalały na dalszą podróż.

Właśnie w tym czasie, gdy Robinson wraz Piętaszkiem odpoczywali w zajeździe, namysławiając się co z sobą robić, weszło trzech oficerów francuskich, również w strony dalekie wyjeżdżających i oświadczyło gotowość jazdy wspólnej, tembardziej, że posiadając doskonałego przewodnika, pewni są, że ich bezpiecznie przeprowadzi.

Robinson z największą chęcią zgodził się na natychmiastowy wyjazd, powierzając z ufnością życie swoje i Piętaszka, znającemu drogę przewodnikowi.



Jakiś czas przejazd był spokojny i bez przeszkód, ale naraz, gdy wjechali wgląb lasu, wypadły znienacka trzy ogromne wilki, z których jeden wskoczył z szybkością błyskawicy na konia przewodnika i zaczął szarpać oszołomionego tą napaścią i nie mogącego wyjąć pistoletu człowieka.

Krzyk rozpaczliwy napadniętego, który oddalił się był od reszty towarzystwa, spowodował resztę podróżnych.

Piętaszek celnym strzałem powalił rozjuszonego wilka, dwa zaś pozostałe widząc martwego napastnika, natychmiast umknęły do lasu.

Na odgłos strzału las rozbrzmiał straszliwym wyciem i naraz wszystko ucichło. Nie napadały już więcej.

Pozostawiły jednak niegodziwe stworzenia ból i jęk nieszczęsnego przewodnika, którego pogryzły dotkliwie w nogę i ramiona.

Śpieszono się do miasta, żeby móżdżem przetrząsnąć jego cierpieniem, poradzisz się którego z lekarzy, gdy naraz zpoza drzew wysunął się olbrzymi niedźwiedź.



Szedł poważnie, nie patrząc nawet na podróżnych. Widocznie był nasycony, gdyż w przeciwnym razie rzuciłby się na którego z jadących.

Niedźwiedź bowiem nie ruszy nikogo, jeśli nie jest głodny i udaje, że nie widzi człowieka. Głód lub zaczepka ze strony człowieka zmuszają go tylko do obrony.

Ze spotkanym tutaj byłoby tożsamo. Chciał przejść z godnością, nie ruszywszy nikogo.

Ale Piętaszkowi przyszło do głowy, żeby rozweselić podróżnych.

Podbiegł więc do Robinsona i błagalnymi słowami, zaczął prosić, żeby mu pozwolił zabawić się z niedźwiedziem... Patrzył przytem tak prosząco na swego pana, że ten, wprawdzie perswadując, pozwolił mu zwierzę zaczepić.

Piętaszek podszedłszy do niedźwiedzia zaczął nań wołać, prosząc, żeby do niego przyszedł.

Niedźwiedź nie zwracając na niego uwagi, spokojnie szedł dalej, nie patrząc na śmiałka.



Wtedy Piętaszek rzucił weń kamykiem. Kamyk ugrzązł w sierści kudłatej zwierzęcia i nie tknął go nawet, ale obraził.

Widział niedźwiedź ruch zaczepny Piętaszka, wyczuł chęć obrażenia go. Ogromnymi krokami, tak dużymi, jak galop konia biedz począł ku śmiałemu człowiekowi.

Robinson przeraził się o życie Piętaszka. Ten ostatni biedz począł szybciej od niedźwiedzia ku podróżnym, jakby u nich szukając ratunku.

Już miał Robinson na ustach wyrazy oburzenia na lekkomyślnego, jak mu się zdawało, towarzysza, gdy naraz Piętaszek wskoczył jak wiewiórka na drzewo, umieścił się na gałęzi i wołać począł na zwierzę: — Chodź! chodź! będziemy tańczyli!

Niedźwiedź obwąchałażącą u stóp drzewa fuzję, obszedł drzewo wokół i z podziwem patrzących wskoczył na gałąź.

Wtedy Piętaszek całą siłą zaczął zginać konary drzewa, każąc w ten sposób podnosić się i opadać ku dołowi swemu przeciwnikowi.

Niedźwiedź zdumiony poddawał się te-



mu przymusowemu tańcowi, nie mogąc temu oponować.

Trwało to czas jakiś, poczem Piętaszek skoczył zręcznie na ziemię, złapał fuzję i nie zważającem na ten ruch niedźwiedziowi wypalił w samo ucho, kładąc go trupem.

Podróżni przyklasnęli sztuce zabijania tak zręcznego niedźwiedzi, praktykowanego u dzikich i natychmiast puścili się w drogę, chcąc dać pomoc nieszczęśliwemu przewodnikowi, którego stan był rozpaczliwy.

Przybywszy do najbliższego miasta, umieścili go w szpitalu, gdzie otoczony troskliwą opieką wkrótce przyszedł do zupełnego zdrowia.

Nie towarzyszył naszym podróżnym już jednak w dalszej drodze, czekać bowiem na jego wyzdrowienie nie byli w możności.

Pojechawszy na miejsce, wywiedział się Robinson o losach odkrytej przezeń wyspy, odebrał należność z banku i powrócił wraz z swym wiernym towarzyszem do Marsylji.

Zapomniał trochę o swych smutkach i tęsknocie, bo czas goi rany najskuteczniej, ale obraz staruszków stawał mu jeszcze często



przed oczami i o samotności mu przypominał.

Robinson postanowił się ożenić. Mógł byt zapewnić rodzinie, dla czegożby miał nie wprowadzić do domu życia i czemuż pozbawiać się miał domowego ogniska?

Był bardzo szczęśliwy. Miał z acną i dobrą żonę i troje ukochanych dzieci.

Nie brakowało mu niczego do szczęścia. Nieraz bawił się sam jak dziecko, klejąc z papieru okręty i zaprawiając zabawą tego rodzaju dzieci swe do morskich podróży.

Widział w jednym ze swych synów namiętność do słuchania o wyprawach i chęć zostania marynarzem.

Mały ten chłopiec, zamiast zająć się jakąś odpowiednią swemu wiekowi hałaśliwą zabawą, budował nieudolne papierowe okręci i po całych godzinach słuchałby różnych opowieści.

Robinson cieszył się tem domowem szczęściem i rad w domu przebywał, nie myśląc zupełnie o żadnych podróżach i przygodach.



Ale Bóg go wkrótce zasmucił. Stracił po dziesięciu latach spokojnego i szczęśliwego życia wielce ukochaną swą żonę.

Tęsknota jego za zmarłą była tak wielka, że nawet widok dzieci ukoić jej nie był w stanie.

Postanowił uciec stąd jaknajdalej, wyruszyć w odległe kraje, a wyzbywszy się tęsknoty wrócić i zająć się dziećmi.

Skorzystawszy z tego, że siostrzeniec, którym się po powrocie z wyspy zaopiekował i wy kierował na marynarza, jechał do Brazylii, postanowił odwiedzić swą wyspę i tam smutek swój, który mu się zdawał być nieuleczalny, zatopić.

Powierzywszy zacnej wdowie po kapitanie opiekę nad dziećmi i całym domem i zapewniwszy wszystkim utrzymanie dostatnie, umówił się ze swym siostrzeńcem, że w styczniu 1695 roku wyjedzie wraz ze swym towarzyszem Piętaszkiem na swą wyspę.

Dnia ósmego stycznia wyruszył nad brzeg morski i niezadługo fale uniosły okręt daleko, daleko, poza Marsylję.



### ROZDZIAŁ III.

**Odwiedziny wyspy — Radość Piętaszka na widok swych stron ojczystych — Wyjazd z wyspy po dwudziestodniowym pobycie — Napad dzikich na morzu — Bitwa — Śmierć wiernego Piętaszka — Ucieczka dzikich — Pogrzeb Piętaszka — Wyjazd na Madagaskar i Przylądek Dobrej Nadziei — Okrucieństwo załogi — Prestrogi Robinsona i pozostawienie go za to na wyspie Madagaskar — Podróż do Chin.**

Zabrawszy z sobą dużo sprzętów, naczyń, przytem umówiwszy różnych rzemieślników, wyjechał Robinson ku miejscu, gdzie lat tyle przebywał i gdzie dużo miłych i smutnych wspomnień pozostawił.

Przybywszy tam został powitany z radością i przez dni dwadzieścia przebywał tam, ciesząc się swem dziełem i szacunkiem powszechnym, jaki go tam otaczał.

Piętaszek już zdala zobaczywszy miejsce swe rodzinne a potem wyspę, na której był



przez Robinsona wyratowany, tańczył i śpiewał z radości, rzucając się co czas jakiś na szyję Robinsona i dziękując mu za sprawioną radość.

Po dniach tu przebytych Robinson postanowił powracać z Piętaszkiem w kierunku Indji, ale nieprzewidziany wypadek przeszkodził mu temu i gdzieindziej skierował jego zamiary.

W chwili, gdy podróżni nasi znaleźli się na pełnym morzu, ze wszech stron otoczyły ich łodzie z dzikimi ludożercami, którzy zaczęli wypuszczać z łuków strzały, w kierunku Robinsona i Piętaszka.

Było to to samo plemię, które niegdyś na wyspie utraciło dwudziestu jeden ucztujących. Kto wie, czy to nie była zemsta za zabicie ich towarzyszy i czy nie wypatrywali oni oddawna sposobności pomszczenia swych współkrajowców.

Robinson nie chciał bitwy, kazał wywieścić białą flagę na znak pokoju, a gdy to nie pomagało, wysłał Piętaszka, aby w rodzimym języku przemówił do tych dzikusów, tłumacząc im o pokojowych swych zamiarach.



Zaledwie Piętaszek skończył swoją przemowę, grad strzał wypadł na nieszczęśliwego i powalił go martwym na pokład.

Widząc to Robinson, w zapamiętałej rozpaczy kazał wywieść armaty i wszystkimi kulami wystrzelać zbrodniarzy.

Umknęły wnet łodzie ludożerców, uspokoiło się w koło, pozostał sam Robinson nad zgasłym swym przyjacielem i załamawszy ręce oddawał się najstraszliwszej z boleści...

Bo oto utracił naraz najwierniejsze z serc, najszlachetniejszego przyjaciela, najlepszego brata i towarzysza...

Był mu wszystkim na wyspie bezludnej, był mu wszystkim i tutaj, gdy opuścili go na zawsze rodzice, gdy odeszła do grobu małżonka i gdy pozostał nieszczęśliwy i złamany.

Ileż to razy zacny ten chłopak, widząc Robinsona stroskanym, przytulał się do niego i błagał, aby się rozweselił i zapomniał. Ile razy objąwszy go za szyję, wraz z nim płakał nad utraconymi.

A dziś oto leży nieruchomy i martwy i po-



bladłe usta nie będą już uspokajały Robinsona i bezwładne ręce nie obejmą już jego szyi...

Placz Robinsona rozlegał się długo w nocy i smutkiem napelniał serca współtowarzyszy.

Odciągnięto go nareszcie od Piętaszka i postanowiono go jaknajprędzej pochować, aby widok zmarłego nie napelniał taką rozpaczą sierociego serca Robinsona.

Wrzucono go przy odpowiednich modłach do morza i pozostały po szlachetnym Piętaszku tylko ból Robinsona i wspomnienie dobroci nieocenionego sługi i przyjaciela.

Smutny ten wypadek odwrócił myśl Robinsona od podróży do Indji. Marzył o niej za życia Piętaszka, teraz postanowił albo powrócić do kraju, albo też dokądindziej wyruszyć.

Pojechał więc ze swym siostrzeńcem na Madagaskar, gdzie spotkała go niefortunna i niespodziewana przygoda.

Oto mieszkańcy tutejsi, w sprzeczce z jednym z marynarzy dopuścili się na tym ostatnim morderstwa.



Oburzeni do najwyższego stopnia jego towarzysze, nietylko wymordowali mieszkańców domu, z którego zabójca pochodził, ale jeszcze podpalili miasteczko i dużo domów puścili z dymem.

Robinson ostremi słowy gromił mścicieli i dużo im przykrych słów powiedział, nazywając ich poprostu zbójami i mordercami.

Rozgniewało ich to wtrącenie się Robinsona do tego stopnia, że zapowiedzieli mu, iż albo odmówią kierowania okrętem, albo go na okręt nie wpuszczą. Niech zostaje tutaj na lądzie i niech czeka na sposobność wyjazdu.

Robinson nie chciał temu wierzyć, ale gdy przyszła chwila wyruszenia w podróż i Robinson chciał iść na pokład, zastąpili mu drogę marynarze i kazali się cofnąć.

Ledwie uprosił, żeby mu przyniesiono jego pakunki i wezwano niewiedzącego o niczem siostrzeńca.

Wezwany siostrzeniec nic na to całe nie-szcześnie nie mógł poradzić. To tylko zrobił, że zaopatrzył Robinsona w pieniądze i obiecał o ile możności wpłynąć na usposobienie



marynarzy, aby odmienili swe niegodne po-  
stanowienie.

Nie pomogło wstawiennictwo, ze łzami  
w oczach pożegnał Robinsona i odpłynął do  
kraju, do którego też myśli Robinsona dążyły.

Został znowu samotny jak na tej bezlud-  
nej wyspie, na którą go morskie zaniósł  
bałwany...

I tak samo smutny i nieszczęśliwy i w Bo-  
gu tylko ufność pokładający... Biedny, bied-  
ny Robinson!...

#### ROZDZIAŁ IV.

**Wyprawa Robinsona do Bengalu, Mongolji,  
Chin — Utarczki z Tatarami — Obalenie boż-  
ka — Ucieczka pośród strzelaniny — Otrzy-  
manie rany bolesnej — Szybki powrót do zdro-  
wia — Pobyt w Archangielsku i Tobolsku —  
Korzystny handel futrami — Wyjazd na Syber-  
ję — Straszliwe mrozy — Zapoznanie się z wy-  
gnańcami — Potajemna ucieczka jednego z ze-  
ślanych książąt wraz z Robinsonem — Pobyt**



**na Syberji przez sześć miesięcy — Zdobycie majątku przez handel — Powrót do Francji po dziesięciu latach nieobecności — Postanowienie spędzenia końca życia w ciszy domowej.**

Przeżył Robinson na lądzie dziesięć smutnych miesięcy, rozmyślając w jaki sposób wydostać się stąd do kraju.

Zostawił mu jego siostrzeniec sługę i swego intendenta do towarzystwa i na rozmowach z nimi spędzał Robinson swe życie.

Razu pewnego, jeden z jego towarzyszy, mianowicie ów intendent siostrzeńca, zwrócił się do niego z zapytaniem, czyby nie chciał wyjechać z nimi razem do Chin, Bengalu, Mongolji, aby zbyć posiadane towary i nabywszy inne wywieźć je do Syberji.

Robinson miał barwne materje, złotem tkane jedwabie i różne kosztowności, zgodził się na projekt i szybko przygotowywać się do tej wyprawy poczęli.

Przygotowania zajęły dużo bardzo czasu. Trzeba było postarać się o konie, wielbłądy,



o ludzi chcących się do nich przyłączyć i o przewodnika.

W końcu postanowił naprzód popłynąć okrętem ku Chinom, poczem nabywszy tam towaru wyruszyć z karawaną do Mongolji i Syberji.

Wyszukano więc okręt, który miał zawieźć do Chin, umówiono oddanych sobie ludzi, znających ich język rodowity i kraje, do których jechali, wyszukali sobie nawet marynarzy i w znajomem już otoczeniu wypłynęli na bezmierne morze.

Robinson był bardzo z tej podróży zadowolony. Wysiedział się dosyć na lądzie, a jego usposobienie żadne przygód nie nadawało się do siedzenia spokojnie w domu.

Dojechawszy szczęśliwie do Chin, przez czas bardzo krótki wyprzedali swoje towary, załatwili swe interesa i zakupiwszy mnóstwo wspaniałych tkanin postanowili, zanim w dalszą drogę wyruszą, przyjrzeć się różnym dziwnym budynkom w Chinach i poznać ten tajemniczy naród.

Chińczycy w owym czasie byli bardziej



jeszcze ukrywający się ze wszystkim, jak obecni mieszkańcy tego państwa.

Nie pozwalali nawet zbliżyć się do budynków swoich, a już co do wejścia do wnętrza, to i mowy o tem nie było. Śmierciaby ten śmiałek został ukarany, któryby się na to odważył.

Wiedział o tem Robinson i jego towarzysze i nie pilno im było do śmierci, która i bez awanturniczych przygód, wszak do każdego kiedyś zawita.

Nie kwapili się więc do wchodzenia do środka słynnej pagody, tj. świątyni chińskiej, zbudowanej całkowicie z porcelany, lecz zbliżywszy się na koniach paręset kroków od budynku, przypatrywali się jej do syta.

Nie było to nic bardzo pięknego ani nadzwyczajnego. Dom ulepiony z glinki porcelanowej — otó cała sztuka!

Uśmieli się podczas tego oglądania pagody należycie, gdy jeden z Chińczyków, ich przewodnik zaczął opowiadać niebywale rzeczy o ich talencie wyrabiania wszystkiego z porcelany.



Co to dom! Zbudować umieją Chińczycy i okręt porcelanowy.

Opowiadał o jednym majstrze, który ni-  
byto zbudował okręt z porcelany i wypuścił  
go na morze. I okręt popłynął w dalekie  
kraje i był z powrotem nic a nic nie uszko-  
dzony!

Takie i temu podobne kłamstwa sły-  
szal nieraz w Chinach Robinson, bo Chińczycy  
słynni są ze zmyślania różnych, przeróżnych  
historji...

Napatrzywszy się dostatecznie różnym  
osobistościom chińskim, zaopatrzone się  
w pożywienie, konie, wielbłądy, w przewo-  
dników i współtowarzyszy podróży i pewne-  
go pięknego poranku puszczone się w drogę.

Karawana ich składała się z mnóstwa ko-  
ni i wielbłądów, podróżnych było też parę-  
set osób, zwolowano się ze wszystkich stron,  
aby raźniej i bezpieczniej było jechać w więk-  
szem towarzystwie. Częste bowiem napady  
dzikich Tatarów zastraszały podróżnych.

Już w drodze spotykały naszą karawanę  
hordy dzikich plemion, ale usuwały się one



ze strachem, widząc dobrze uzbrojonych i gotowych do walki ludzi.

Gdy byli już prawie na pół drogi do miejsca, gdzie towary ich kupionoby z wielką chęcią, otoczyła karawanę gromada rozbijających po drodze Tatarów i gotowa była na nią się rzucić. Powyciągała już dzicz strzały, napięła luki i parę strzał zaświstało nad głowami naszych podróżujących.

Odpowiedziano im kulami, które tak przerażyły Tatarów, że uciekli, nie próbując już więcej zaczepk.

Przybywszy szczęśliwie do miasta, gdzie miano zbyć korzystnie towary, załatwiono bardzo szybko swe interesa a zakupiwszy futer i innych rzeczy, których w Mongolji wtedy nie było, ruszono w dalszą drogę.

Przejeżdżając przez osady mongolskie zauważyli jakąś straszliwą figurę, zrobioną z drzewa i pomalowaną w różne kolory.

Figura ta wmurowana w ziemię, miała na ohydnej głowie rogi, uszy długie zwierzęce i obwieszona była paciorkami, składanemi widocznie w ofierze.



Na ziemi, u nóg tej obrzydłej figury leżały postacie ludzkie, wzywające ratunku i błagające niezrozumiałemi słowami straszydła.

Na odgłos kroków ludzkich kilku podróźnych, porwało się z ziemi, oburzonych za przerwanie ich modłów.

Robinson wraz z dwoma innymi towarzyszami podróży, po odejściu modlących się dzikusów, rozbił głowę bożkowi i zamierzał go całkiem rozwalić, ale widok nadbiegających na ratunek straszydłu Mongołów powstrzymał go od tego zamiaru. Nie mogąc znieść jednak tego, aby obrzydliwemu bożkowi cześć ludzIE oddawali, zakradli się w nocy i podpaliłi figurę.

Sądziłi, że dzicy ludzIE, uznający w bożku tylko moc i potęgę, ujrawszy spalonego, odstąpią od tego wierzenia i łatwiej ku prawdziwemu Bogu się zwrócą.

Na widok płonącego straszydła rzucili się poganIE do ratowania, ale nic nie pomogło. Z bożka, przed którym padali na ziemię i którego błagali o pomoc pozostała garść popiołu i trochę niedopalonych ozdób żelaznych.



Nazajutrz cała gromada pogan wyruszyła na skargę do gubernatora, obwiniając o ten czyn występny przechodzącą tamtędy karawanę.

Domagano się surowego ukarania winnych, w przeciwnym bowiem razie dojdzie w mieście do krwawych zamieszek.

Gubernator okazał się bardzo rozsądnym i dla karawany życzliwym. Nie wierzył w spalone przez Robinsona drewno, wyobrażające bożka, czuł całą ohydę podobnego ubóstwiania i postanowił nie karać lecz ocalić nieszczęśliwych.

Wezwawszy więc przywódców karawany, poradził, aby wyruszono czempędzej w dalszą drogę, nie powstrzyma bowiem krwawej pomsty, o ile nie zdołają zejść z oczu rozszalałego tłumu.

Podziękowano za względy i wyruszono jaknajszybciej. Po dwóch dniach drogi spostrzeżono jednak nadciągające gromady uzbrojonych pogan i gdyby nie przytomność jednego z przewodników, z ich plemienia, źleby było z karawaną.

Przewodnik ów, wytłomaczył rozwście-



czonemu ludowi, że nie ta, lecz inna karawana, która jest już o wiele od nich dalej, spaliła bożka i popędziła do innego miasteczka, gdzie również ma obalić podobną figurę, ma bowiem za zadanie poniszczyć wszystkie ich bostwa.

Uwierzono mu i puszczono się ze strasznymi okrzykami za rzekomą karawaną, która w istocie nie była nigdzie w tych stronach, nasi zaś podróżni umykali czempredzej, aby być jaknajdalej od mścicieli.

Posuwając się coraz to bardziej na północ, doszła karawana do Tobolska, przebyła tam bardzo ciężką zimę, nakupowała futer i doczekawszy się wiosny, która na Syberji równa się naszej zimie, wyruszyli z powrotem do kraju.

Robinson zaznajomił się na Syberji z wygnańcami, między którymi był pewien książę z synem.

Namawiał ich, aby uciekli z nim w przebraniu, ale ojciec przywykł już do tej mroźnej krainy i powracać do siebie nie życzył, prosił tylko aby zabrano syna, któremu było tu źle i tęskno.



Po przebraniu za kupca, syn księcia, pożegnawszy się z ojcem powrócił do swego kraju.

Robinson przebył szczęśliwie drogę, sprzedał bardzo korzystnie zakupione na Syberji futra i po latach dziesięciu podróży powrócił do rodzinnego ogniska.

Zastał tam wszystkich przy życiu. Wdowa po kapitanie wychowała mu synów na dzielnych i szlachetnych ludzi. Jeden z nich został marynarzem i powrócił właśnie z morskiej podróży, obaj inni byli inżynierami.

Robinson, powróciwszy do Marsylji, choć niezbyt już młody, nie opuścił rąk bezczynnie.

Pobył na wyspie, konieczność zdobywania samemu, — bez niczyjej pomocy środków do życia, wyrobiły w niegdyś lekkomyślnym i nie lubiącym pracy Robinsonie, zamiłowanie trudu, chęć ciągłą do czynów i nie-  
spożytą energję.

Kto go znał przed ucieczką z domu rodzicielskiego, kto patrzył na rozpieszczonego i rozleniwiałego jedynaka, ten uwierzyć nie mógł, że oto ten rzeźki jeszcze, pomimo



podeszłego wieku, staruszek, jest tym samym dawniej wałęsającym się nad brzegiem morza lub wysypiającym się w trawie ogrodu Robinsonem.

I teraz, choć znużony przejściami, tyle razy moralnie zgnębiony utratą ukochanych osób, zabrał się żwawo do dzieł społecznych, zakładając przy pomocy zbieranego funduszu i ofiarności społeczeństwa ochrony, szkółki i przytułki dla rodziców, którym morze zabrało dzieci.

Czuwając nad budową przytułku, przed oczami miał wciąż dwoje ukochanych, którzy pozostawszy bez synów, znaleźli się przed powrotem Robinsona z wyspy, prawie bez środków do życia.

Powyszukiwał osieroconych przez marynarzy i pomieszczał w schludnych pokojkach przytułku, dając do końca życia kąpiel ciepłą i strawę.

Wspaniałe budynki wzniesione przez zacnego Robinsona były jakby pomnikiem cnót jego i wielkiego, szlachetnego serca.

Synowie jego poszli śladem swego ojca, dając najlepszy przykład kolegom swym i potomności.



Jeden z nich, inżynier, przeprowadzał słynne koleje i tunele w Anglii i Szwajcarji, drugi, marynarz, odwagą swą i rozsądkiem nie raz jeden wydzwignął z niebezpieczeństwa okręty, któremi kierował, jako kapitan.

Syn ten był radością życia Robinsona i jego starości osłoda. Zawsze pałający chęcią podróżowania przedstawiał jakby odbicie cnót ojca i niezapomnianej nigdy matki.

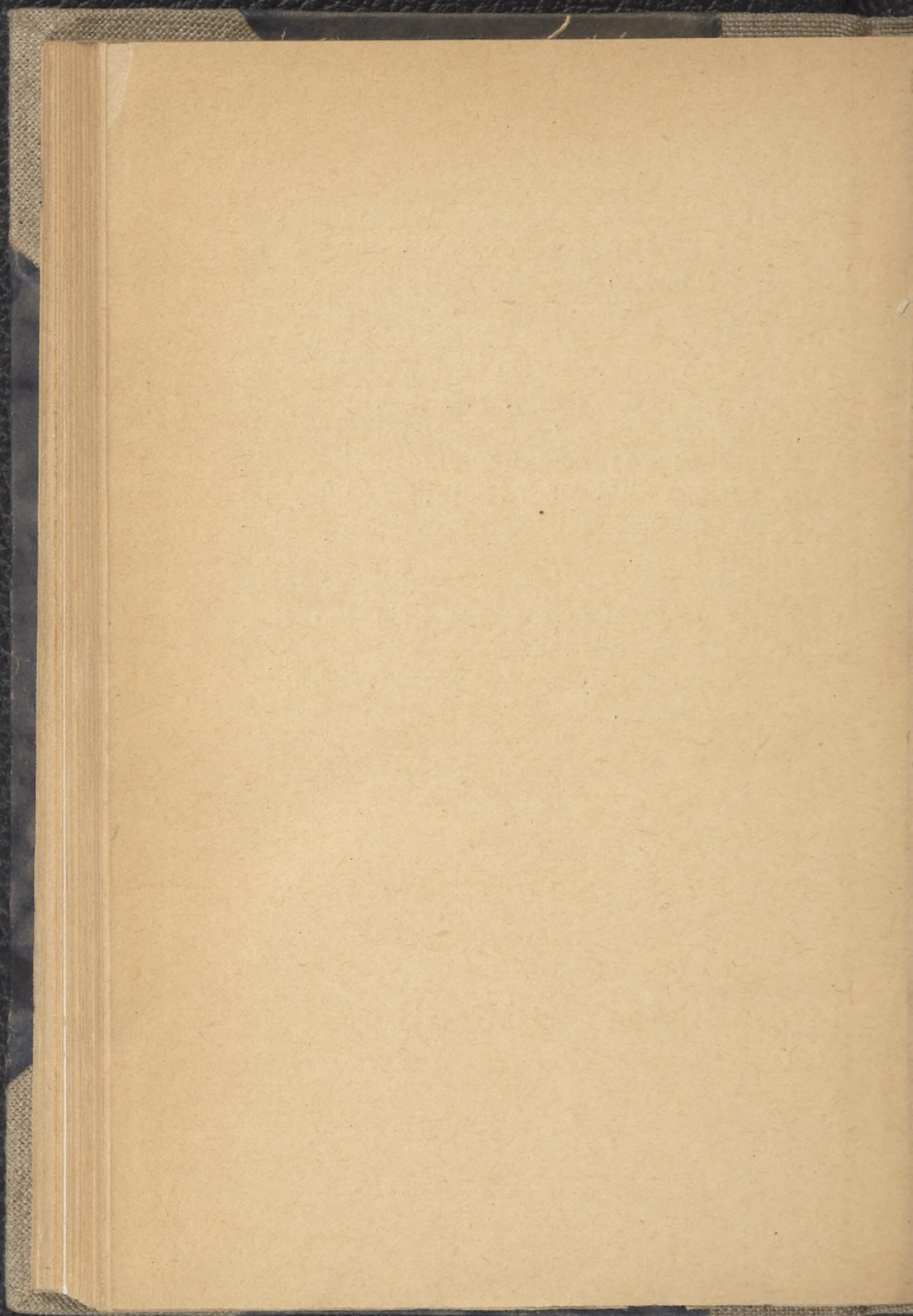
Robinson miał już 72 lata, zniedołężniał trochę i chęci do dalszych przygód i podróży już nie miał.

Postanowił w ciszy i modlitwie życie swe przepędzić, przygotowując się do drogi, która zwie się wieczną.

Umarł otoczony miłością rodziny i ludzkim szacunkiem.

KONIEC.







## Spis rzeczy.

### CZEŚĆ I.

Ucieczka Robinsona. Różne przygody. Robinson na wyspie bezludnej.

### CZEŚĆ II.

Życie na wyspie. Wyszukiwanie pożywienia. Ogień z pioruna. Trzęsienie ziemi. Choroba Robinsona.

### CZEŚĆ III.

Budowa statku. Ślad stopy ludzkiej. Przybycie dzikich na wyspę. Ocalenie Piętaszka.

### CZEŚĆ IV.

Robinson z Piętaszkiem zamierzają opuścić wyspę. Burza. Rozbicie okrętu u brzegów. Budowa tratwy i zabranie różnych rzeczy z okrętu.

### CZEŚĆ V.

Dzicy na wyspie. Uczta ludożerców. Uratowanie białego jeńca i ojca Piętaszka. Robinson



opuszcza wyspę. Hiszpanie ustanowieni rząd-  
cami.

### CZEŚĆ VI.

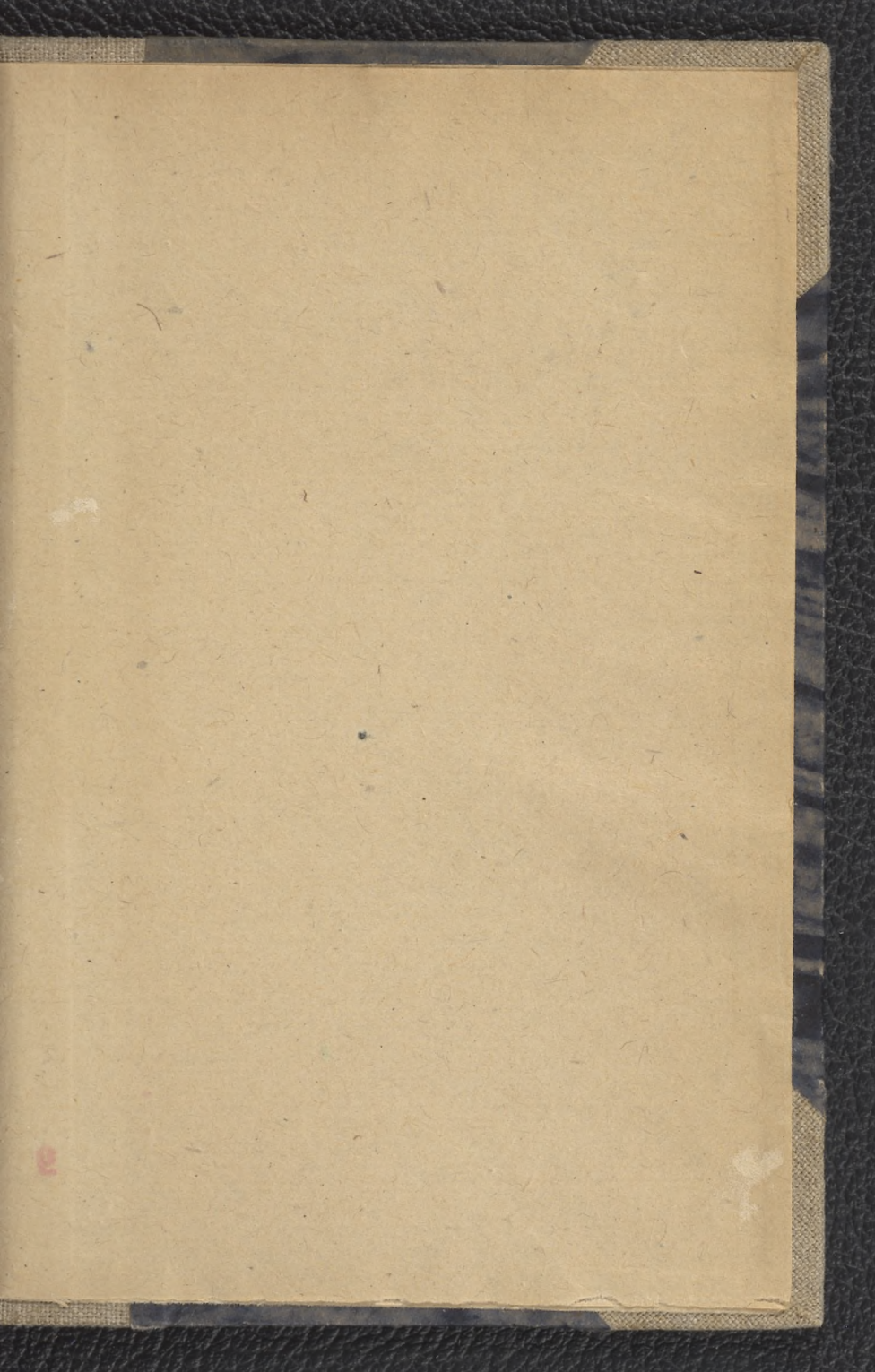
Po powrocie do kraju. Śmierć rodziców. Wy-  
jazd do Londynu. Powrót do Marsylii, ożenie-  
nie się. Wyjazd powtórny po śmierci żony.  
Napad dzikich poza wyspą. Zabicie Piętaszka.  
Wyprawy na Madagaskar, Bengal, Mongolję,  
i Chiny. Pobyt w Syberji. Zamieszkanie na  
koniec życia we Francji.

---



13

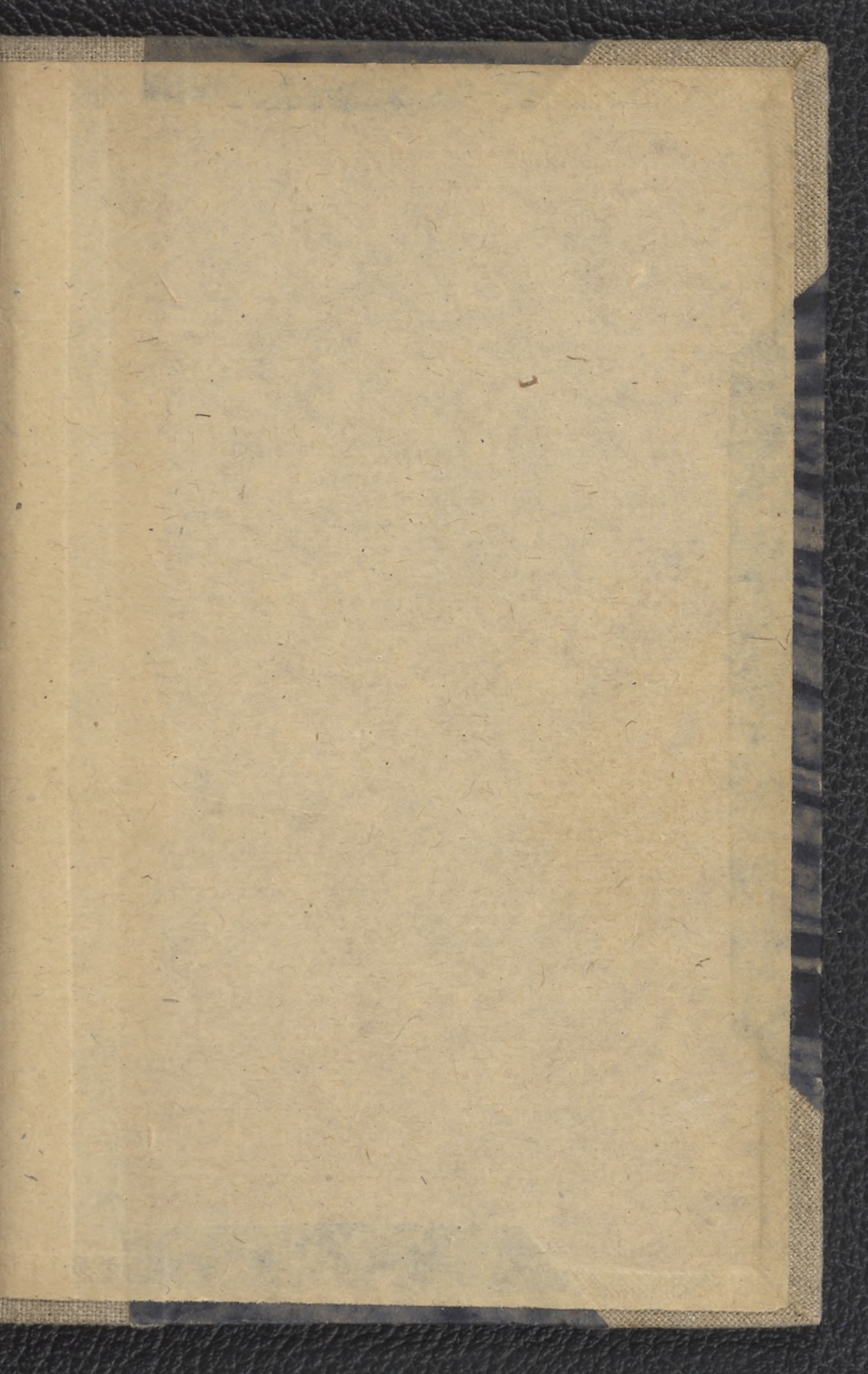
















BIBLIOTEKA  
NARODOWA

542191

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001008704182